AS



Nr. 2

-GO SIERPNIA 1935

CENA 40 GROSZY.

■■

W ŚWIĘTO GÓR.

...yba tylko pięknej ko-
...ie zaufa wspaniały król
gór — płowy jeleń

NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.

Za każdym razem w zbiorze naszych fotografij, który przynosimy Czytelnikom „Asa“ w związku z naszym konkursem, ustosunkowanie sił jest inne. Po większej części przeważa element kobiecy jako „predestynowany“ do wszelkich konkursów urody. Aby jednak nie pokrzywdzić i drugiej części ludzkości, zamieszczamy tym razem kilku reprezentantów płci b r z y d k i e j. Wśród pań, ukazujących się tym razem oczom naszych Czytelników, zauważymy kilka główek w typie nieco... wiejskim. Nie ręczymy oczywiście za autentyczność tej „sielskości“, — przyznać jednak musimy, że urozmaicają one obraz ogólny kandydatek do nagrody naszego konkursu, który dotychczas miał charakter wybitnie miejski.

A więc wybór jest jak zwykle dosyć obfity, należy się tylko głęboko zastanowić komu przyznać palmę pierwszeństwa... i kupon znajdujący się na stronie 26.



P. Wiśka Wiśniewska, Rzeszów.



P. Kryśka R. z Sandomierskiego.



P. Hanka Bombianka, Rzeszów.



P. Wanda C., Zakopane.



P. Jerzy Kostka, Kleszczele.



P. Stefan Hoja, Tuchola, Pomorze.



„Kociak“, Lwów.



P. Józef Hoja, Tuchola, Pomorze.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 23 **Niedziela 4 sierpnia 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 23-go:



Niema krajobrazu polskiego, na tle którego barwny mundur ułana nie tworzyłby pięknej, efektownej plamy, stanowiącej moment nietylko ożywiający go, ale też zharmonizowany z otoczeniem. Zwłaszcza podczas manewrów na licznych drogach i dróżkach wsi polskiej dają się widzieć dziarskie postacie o ogorzałych twarzach zarówno oficerów, jak i żołnierzy, posuwających się do celu według planów swego sztabu. Oto oficer naszej kawalerji zapuszczający się w ciemne bory, tchnące chłodem i spokojem.

6. VIII. 1914

WCZORAJ I DZIŚ – OLEANDRÓW

Zielony pierścień plant nie wystarczał już w wieku ubiegłym miejskiej ludności. Potężny zbiornik powietrza, jakim są Błonia krakowskie nęcił oddawna starsze i młodsze pokolenia w Krakowie, pragnące wciągnięcia do płuc zapasu powietrza, które pachnie Tatrami.

Już tak wielce zasłużony dla zdrowia młodzieży naszej dr Jordan, zakładając park fizycznego przysposobienia młodzieży, pierwszy zwrócił uwagę na zdrowotną wartość tych terenów, z których rozciąga się przepiękny widok na majestatyczną sylwetę Wawelu i Kopca Kościuszki.

Pod parkiem Jordana ciągnęły się w głąb aż do Rudawy gęste zarośla wikliny. Młodzież podmiejska w gwarze swej zwała wikliny Oleandrami.

Miejsce to stało się ulubionem boiskiem gier ruchomych młodzieży w lecie, a ślizgawki w zimie. W roku 1911 na tych terenach urządzono niewielką w rozmiarach, lecz szlachetną w swej tendencji wystawę architektoniczną. Tam pokazano piękny dorobek krakowskich warsztatów artystycznych, które próbowały wprowadzić w sztuce wnętrza polski styl. Pobudowano kilka pawilonów wystawowych, m. in. dworek staropolski oraz szereg pomieszczeń dla wesołego miasteczka. Prawdziwą sensacją dla młodzieży było wówczas djabelskie koło (wirująca podłoga). Tutaj znajdował się również budynek letniego teatru, prowadzonego przez popularnego dyrektora warszawskich teatrów ogródkowych, Cyryla Danielewskiego. W rok po zamknięciu wystawy wydzierżawiono budynek na „Luna park", a budynek teatralny służył dyrektorowi, Adamowi Bilińskiemu i znanemu artyście, Leonowi Wyrwiczowi do prowadzenia wodewilowego teatru.

Gdy w tymże 1921 r. poczęto się zastanawiać, jaką nazwę dać teatrowi istniejącemu na placu powystawowym, na wniosek Wyrwicza nazwano go „Teatrem w Oleandrach". W ten sposób spopularyzowano nazwę topograficzną tego miejsca. W okresie późniejszym, niszczejące budynki powystawowe oddało miasto komendzie Strzelca i Oleandry w roku 1914 przeszły do historji wojskowości polskiej.

Łucjan Rydel, znany poeta, zmarły w kwietniu 1918 r., pozostawił wielce interesujące zapiski, z których przytoczony ustęp datowany jest z 6 sierpnia 1914 r.

„Dziś rano przed 8-mą budzi mnie śpiew. Złociste słońce wpadało do pokoju całą smugą; śpiew był raźny, wesoły; pieśń narodowa płynęła w niebo pogodne. Wojsko idzie, wojsko polskie, Strzelcy! Zerwałem się, rzuciłem na siebie okrycie, wybiegłem patrząc na drogę. Szło ich 500 w siwych mundurach. Tuż obok mnie znalazł się Tetmajer i Lutek z Kazikiem (synowie poety).

Strzelcy szli z rozkazem wkroczenia do Królestwa na Szyce.

Kwiat chłopców młodych, tłum twarzy radosnych i poważnych zarazem, uroczystych, wzruszonych trochę. Idą się bić z Moskalem, ścisnęło mnie za gardło wspomnienie z r. 1863. Byle nie tak, jak tamci, byle nie tak, o Boże! Po Kościuszce, po legjonach, po 31-szym i po 63-cim roku znowu idziemy — po raz piąty. Tak byłem zawsze ruchawkom polskim przeciwny. Tak się wzdrygałem przed próżnym przelewem krwi naszej najdroższej. Odciągałem od Strzelca, tłumaczyłem, prosiłem, żeby głupstw nie robili, nie ginęli, tylko pracowali i żyli dla Polski. Słowa przełknąć nie mogę. Wstyd mi było, że mi się na płacz zbiera, patrzyłem na nich przez łzy, na nasze wojsko polskie. Dowiedziałem się, że rano z Krakowa wyszli nie pośniadawszy nawet, że są głodni. Zawróciliśmy do domu po jedzenie. Ja zabrałem cały nasz zapas słoniny, wędzonki i wszystek chleb, jaki tylko był w domu. Od Tetmajerów też nasłano, co tylko mogli. Złote, jedyne chłopaki nasze idą się bić. Czemu łeb siwieje, czemu ja nie mam zdrowia!

Prosili o przewodników na najkrótsze polne drogi. Nasi synowie Lutek i Kazik wsiedli na kuce, poprowadzili ich do Szyc i jeszcze poza Szyce, niech pamiętają, że prowadzili wojska polskie. Byli w siódmem niebie.

W kawiarni Bisanza tłumy. Popołudniu idzie w pełnym rynsztunku bojowym 13 pułk dzieci krakowskich. Wszyscy wydają okrzyki, oklaski, istna burza. Ilu z nich nie wróci już? Wszyscy nasi, wszyscy polska krew. Byle zwyciężyli! Byle nam wszystkim w Polsce po tem zwycięstwie było choć trochę lepiej!".

Oto ciekawy dokument szlachetności uczuć polskiego poety i nastrojów ówczesnego społeczeństwa. *m. d. d.*



Raport na błoniach krakowskich w początkach organizowania Legjonów. Akwarela Z. Wierciaka.



Dom sportowy w Oleandrach w r. 1914. Akwarela Z. Wierciaka.



Dom im. Marsz. Piłsudskiego w Oleandrach odznacza się wysoce nowoczesnem urządzeniem. Opodal dom wycieczkowy. Fot. amat. E. Meysztowicz, Kraków.

W CIENIU WIATRAKÓW DON QUIJOTE'A



Historyczny wiatrak w La Mancha, wsławiony powieścią Cervantesa ma być odrestaurowany z funduszów państwowych.



Trzy piękne Hiszpanki na tle wspaniałego widoku górskiego tworzą nadwyraz estetyczy obraz.

Hiszpanja jest żywym dowodem na twierdzenie, że nikt, zwłaszcza naród nie zdołał uciec przed przeszłością. Ciąży ona na nim i jest powodem wszystkiego dobrego i — złego. Hiszpanja mimo wielu urządzeń nowoczesnych, jest krajem średniowiecznym. Z tych czasów pochodzi jej duma narodowa, przypominająca granda, drapującego się w swój płaszcz jedwabny, gotykiem też pachnie religijność jej, granicząca z drugiej strony z rażącym brakiem etyki, średniowieczne są też obyczaje ludu, szlachty, inteligencji. Półwysep pirenejski, odgraniczony od reszty świata górami, jest w wielu kwestjach zagadką dla kogoś, co nie wysnuje z jego przeszłości pewnych wniosków. Napotykamy tam na takie przeciwności, rażące nielogiczności i tyle paradoksów bieżącego życia, że co krok stajemy zdumieni.

A jednak wszytko ma swe logiczne podłoże. Nieszczęściem Hiszpanji było... bogactwo! Gdy Krzysztof Kolumb wracając ze swej wyprawy, podjętej celem odkrycia Indyj, pod stopy króla Ferdynanda aragońskiego i małżonki jego, klółowej Izabelli kastylskiej złożył nowoodkryty ląd, uczynił z niego podarek Danaów. Bogactwa zdobyte miały się zemścić w sposób groźny, gdyż Hiszpanie olśnieni złotem tem więcej, że ich ojczyzna była ubogą, zaczęli nowy ląd traktować jako niewysychające źródło bogactw, których nie umieli produktywnie zużyć. Władca Peru okupił się Pizarrowi, ofiarując mu klejnoty w wartości miljona i 362.600 pesos de oro, tj. miljon i 700 tys. dukatów, a okręty wracające do ojczyzny z Veracruz naładowane srebrem i złotem jako podatek, wypłacały królowi jedną piątą przywiezionego srebra co w r. 1556 wynosiło 400 tys. dukatów, między rokiem zaś 1602 a 1620 jeden, dwa a nawet cztery miljony dukatów! Biedna Hiszpanja zaczęła pławić się w złocie i... dusić! Równocześnie jednak przemysł hiszpański upada, gdyż Hiszpan tylko zmuszony staje się pracowitym. Państwo to, w którem słońce nie zachodziło, ogłasza kilkakrotnie bankructwo, w latach 1557, 1575, 1596 itd. W roku 1680 pewien autor anonimowy pisze w petycji do króla Karola II. wieszcze niemal słowa: „Naj-

Poniżej: Ludowe tańce hiszpańskie świetnie symbolizują wybuchowy charakter mieszkańców półwyspu. — Na zdjęciu sławna tancerka seniorita Anita Carmago w „wyrazistej" pozie tanecznej.





Podwórzec uniwersytetu w Salamance pełen jest ***klejnotów*** *architektonicznych. Zwłaszcza ściana zwrócona frontem do pomnika odznacza się „koronkową“ rzeźbą kamienną.*



Jednym z najpiękniej położonych zabytków Hiszpanji jest ***Mont Serrat*** *pod Barceloną z olbrzymim klasztorem, przypominającym położeniem jaskółcze gniazdo.*



Podczas procesyj religijnych ściany domów zawieszane są nieraz arcycennemi ***gobelinami*** *o scenach biblijnych.*

Poniżej: Oddrzwia prastarej katedry w ***Salamance****, zbudowanej około r. 1200, są jednym z najcenniejszych* ***zabytków*** *architektury gotyckiej w Hiszpanji.*



cenniejszym metalem, jaki istnieje jest pot, który perli się na skroniach“. I właśnie tego codziennego wysiłku Hiszpanja, żyjąca na stopie bogacza, nie zdoła ze siebie wykrzesać.

Odnosi ona zwycięstwa efektowne, wspaniałe, walczy za Kościół, rujnuje się dla swego imienia: nie umie jednak żyć praktycznie. A gdy wkońcu traci bogate Niderlandy, gdy ponosi klęskę na morzu w walce z Anglją, nic jej nie pozostaje, jak otoczyć się wspomnieniami i zimną pogardą dla całego świata. Stąd ponurość sztuki hiszpańskiej i literatury, stąd zamiłowanie do podniecających widowisk, odwracających na chwilę myśl od rzeczy pozytywnych a przykrych, jak walki byków, kogutów, wspaniałych procesyj, dających okazję do ekstazy itd.

Gdy Don Miguel de Cervantes y Saavedra pisał swego „Don Quijote“, pisał bolesną satyrę na swój kraj, gdyż rozkład jego już był się zaczął. Pogoń za marą wielkości jest chorobą „rycerza o ponurem obliczu“ z La Manchy, chełpienie się przeszłością jest też rakiem, toczącym organizm Hiszpana. Dopiero bodaj ostatnie czasy przed abdykacją króla Alfonsa XIII. doczekały się wzmożenia aktywności życia hiszpańskiego w znaczeniu praktycznem, dopiero on i jego nieliczni pomocnicy poczęli zwłaszcza podczas wojny nawiązywać kontakt z Hiszpanami Ameryki Południowej, celem wzmożenia handlu, przemysłu i pracy wogóle. Zabiegi te nie zostały ocenione przez naród oscylujący między ostatecznościami i krwawa rewolucja jeszcze bardziej pogrążyła Hiszpanję.

Życie Hiszpana posiada swoistą oryginalność, pełną uroku i romantyczności. Jest ono barwne, ciekawe, inne jak w całym świecie. Rycerskość nieco teatralna, efekciarska, ale też szczera w chwilach wzruszenia, łatwość wywoływania silnych uczuć, wrodzony dowcip, a przy tem wszystkiem poza wielkopańska — oto w skrócie cechy Hiszpana. Każdy z nich nieomal przybiera postawę bohatera, a toreadorzy, personifikujący odwagę, są w braku innych bohaterów, bożyszczami tłumu.

Ciekawem jest, że Hiszpanki, uchodzące zupełnie niesłusznie za pełne temperamentu, są wręcz przeciwnie bardzo obojętne a zamiast temperamentu znaleźć u nich można kokieterję, będącą u kobiety wypływem egoizmu i chęci panowania. Hiszpanja i tu okazuje się wspaniałą sceną, o pięknych dekoracjach, na której wszystko prawie robi się dla widzów. W każdej chwili swego życia Hiszpan nie zapomina, że nad jego ojczyzną panował Karol V. i Filip II., przed których tronem pokłony biły niezliczone narody.

Również średniowieczną cechą braku równowagi duchowej są gwałtowne przejścia od religijności do rozwiązłości, od ascezy do brutalnych widowisk i zabaw. O ile na procesje religijne rodzina hiszpańska wyrusza z całem potomstwem, to również w nocnych kabaretach o specyficznej atmosferze zobaczyć można te same rodziny. Istotnie niema bodaj nawet w Paryżu podobnie wyszukanie rozwiązłych widowisk jak w Hiszpanji. Lecz tam nie jest to tem samem co u nas, Hiszpan lubi wszystko, o ile jest doprowadzone do punktu kulminacyjnego, tak, jak znał szczyty bogactwa i potęgi. Nad półwyspem unosi się w powietrzu zapach pomarańcz, krwi, ubiegłej wielkości i... paradoksu!

Pomimo tych „wad organicznych“ narodu hiszpańskiego w odniesieniu do praktycznego życia w XX. wieku, niema bodaj że kraju równie ciekawego i bogato obdarzonego zabytkami sztuki, historji, posiadającego w samym chóćby krajobrazie równie wiele ciekawych przeciwieństw, podnoszących tylko jego urok, jak właśnie Hiszpanja. Istotnie zarówno gotyk jak i renesans i barok wycisnęła na Hiszpanji nadwyraz oryginalne piętno, a zarówno literatura, jak i sztuki piękne miały wielu genjalnych interpretatorów. Lecz wszędzie zauważyć można tę pewną ponurość, zmieniającą się z rozpasaną wesołością, podobnie, jak słońce następuje po burzy. Od Cervantesa do Rámona Gómez de la Serna lub Blasco Ibaneza znajdujemy nastroje i obrazy, przypominające nam walkę światła z ciemnością, tak często powtarzające się na płótnach Ribeiry. Hiszpanja do dziś dnia to wspaniała opowieść rycerska, pełna barw, gwałtownych uczuć, ciekawych epizodów, zainscenizowana w przepięknych ramach starych zabytków, kaszteli, klasztorów, to znów wąskich uliczek, tających brudne oberże. Piękno polega tu na kontrastach i oryginalności.

Podobnie jak człowiek, który żył przez długi czas jedynie złudzeniem i wspomnieniami, wkońcu jednak ocknął się ze swej martwoty i postanowił rozpocząć nowe życie dostosowane do obecnych warunków, Hiszpanja w ostatnich czasach stara się zrozumieć tempo współczesne, co jednak przychodzi jej z trudnością. Rozpoczęła ona tę mozolną moralną organizację i przekształca Don Kiszota we współczesnego bussinessmana. Kiedy ta zmiana się dokona — trudno przewidzieć.

Jan Maleszewski.

FABRYKA ★ OCZU.

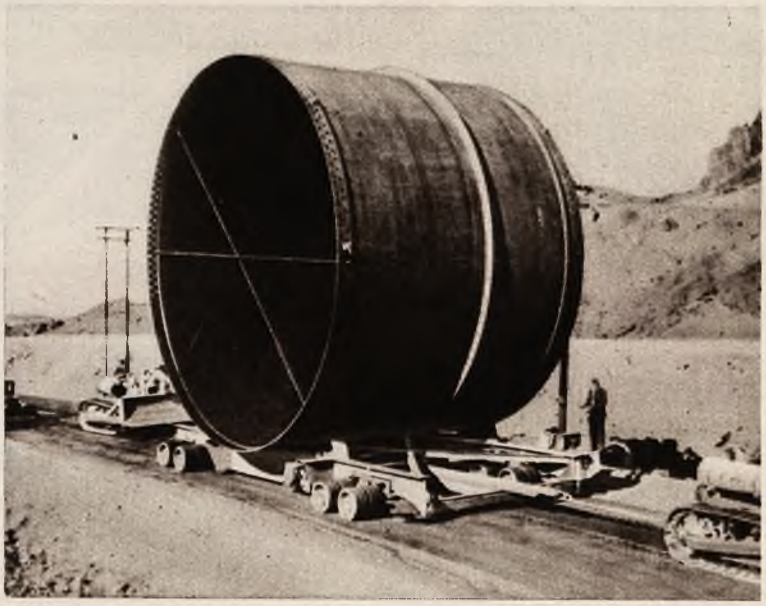




Turyngja jest ojczyzną lalek. W zakątku tym wyrabia się niezliczone ilości ulubionych zabawek dla dzieci całego świata. Lalki z celulozy, porcelany, czy materjału „przychodzą na świat" ślepe. Fabrykacją oczu zajmuje się w Turyngji wielu ludzi, którzy u siebie w domu nad gazowym płomykiem wydmuchują szklane rurki nadając im kształt gałek ocznych i zabarwiając szklane źrenice na wszystkie kolory.

Ponieważ oczy posiadają nietylko lalki, ale i pluszowe niedźwiadki oraz inne zwierzęta, przeto domowe fabryczki oczu mają wiele pracy z wykonaniem zamówień i dobrze prosperują.

NAJWIĘKSZY RUROCIĄG ŚWIATA.



Niedawno temu rozpoczęto w Stanach Zjednoczonych budowę olbrzymiego rurociągu, noszącego nazwę „Boulder Dam", który jest chyba największem urządzeniem tego rodzaju na świecie. Cały rurociąg składa się z olbrzymich metalowych części, posiadających przekrój 30 stóp. Budowa jest oczywiście nadwyraz kosztowna i połączona z wielkiemi trudnościami, gdyż rurociąg buduje się w okolicy górzystej, a transport poszczególnych części odbywać się może jedynie na specjalnie w tym celu stworzonych wehikułach, ciągnionych przez lokomobilę. O wielkości rurociągu świadczy człowiek opodal jego części stojący, który wydaje się karłem w porównaniu z nią.

Nadniemeńskie zdrojowisko.

Najsłynniejszym zdrojem kresów północno-wschodnich są Druskieniki, odznaczające się zarówno pierwszorzędnemi czynnikami leczniczemi, znakomitym klimatem, jak i szczególnie pięknem położeniem. Zdrój jest nowocześnie urządzony, a obecnie dzięki budowie nowej linji kolejowej jest wygodnie dostępny. Zamieszczone zdjęcia ilustrują zarówno romantyczne położenie zdrojowiska, jak też nowoczesne wyposażenie.







Na pierwszem zdjęciu widzimy fragment jeziora Druskonie, leżącego w pobliżu zdrojowiska z widokiem na kościół oraz na willę Lingome. Na drugiem zdjęciu widzimy umieszczony w rozległym parku zakład kąpielowy, mieszczący łazienki i liczne urządzenia, służące kuracjuszom. Trzecie wreszcie zdjęcie przedstawia nam Niemen z Wyspą miłości, na której znajduje się plaża, ciesząca się w okresie pełnego sezonu wielką popularnością wśród rzeszy kuracjuszy.



Serja znaczków angielskich Przylądku Dobrej Nadziei w różnych wartościach. Niektóre z nich są obecnie bardzo cennemi okazami. (Ze zbiorów dra Z. Landaua).

Namiętność zbierania marek wielu poważnych ludzi uznaje za dziecinną. Zapomina się o tem, że filatelistyka jest siostrą numizmatyki. Wydawanie marek, podobnie jak bicie monet jest „regale" państwowem. Monety umożliwiają wymianę dóbr, marki pocztowe wymianę myśli.

Muszę też zauważyć, że marki pocztowe nietylko uczą nas historji i geografji, ale dla przyszłych historyków stanowić będą niewątpliwie źródło poznania historji. Znaczki np. wydane w czasie wojny światowej, dają dokładny obraz całego przebiegu wojny.

Tak więc znaczek pocztowy może się stać źródłem różnorodnych a miłych wzruszeń dla zbieracza.

Dr Zygmunt Landau

MINJATURY NA SKRAWKU PAPIERU.

Filatelistyka doczekała się już różnych sądów— krytykowano ją i chwalono. Mało kto jednak zwrócił uwagę na jej artystyczne walory i zalety powiedziałbym „duchowe", wyższe, wprowadzające nas w inny, nieznany świat.

Otóż może nie każdemu wiadomo, że każdy znaczek pocztowy, jeżeli nie jest to powinien być dziełem sztuki. W jakiż to bowiem sposób marki powstają? Marka jest albo miedziorytem, albo stalorytem, albo litografją, a czasem też i drzeworytem. Przedewszystkiem sporządza się płytę, obejmującą z reguły sto marek, a wykończenie tej płyty jest rzeczą artysty. Trzeba podnieść, że jeżeli stworzenie pięknej minjatury jest rzeczą trudną i piękne minjatury sławnych artystów osiągają ceny wyższe niż obrazy, to marka pocztowa jest minjaturą minjatury, gdyż artysta na powierzchni kilku centymetrów kwadratowych dać musi skończony i piękny obraz.

Któż z nas nie podziwia pięknych pierwszych marek angielskich lub sycylijskich i tylu innych! Są to przepiękne miedzioryty, w których każdy szczegół portretowy jest jaknajsubtelniej wykończony.

Jakże piękne są marki greckie paryskiego wydania, których cena jest stokrotnie wyższą od takichże samych znaczków wykończenia ateńskiego jedynie dlatego, że są one mniej subtelnie wykończone.

Zbieranie marek jest więc szukaniem piękna, a piękno to objawia się także w doborze barw użytych przy wykończeniu ich. Temi pięknemi barwami odznaczają się w szczególności marki francuskie i marki angielskie.

Tasama marka, będąca miedziorytem ma wartość kilkadziesiąt razy większą od takiejsamej, będącej jedynie stalorytem.

Wartość marek zależy oczywiście od podaży i pobytu. Na świecie jest przeszło 15 miljonów zbieraczy, a każdy z nich chciałby posiadać w pierwszym rzędzie znaczki, wydane w niewielkiej ilości.

Dziś każda marka zostaje wydaną w miljonowym nakładzie, ale dawniej, gdy mało ludzi pisało listy, nakłady te zwłaszcza wyższej wartości były bardzo małe i tem się tłumaczy rzadkość tych marek i wysokie ich ceny.

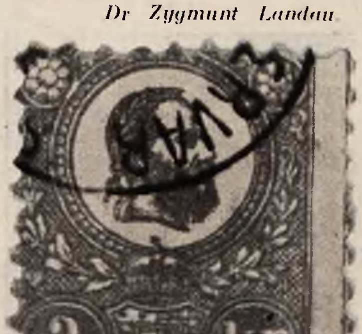
Jeżeli nakład więc miedziorytów lub litografji z natury rzeczy był mniejszy niż stalorytów, to wartość takich znaczków oczywiście jest wyższą.

Widzimy więc, że znajomość grafiki dla zbieracza marek jest niezbędnie konieczną. Ponadto fałszowanie marek jest niestety bardzo rozpowszechnionem i bardzo intratnem przedsiębiorstwem. Fałszerze doszli do takiej techniki, że tylko oko prawdziwego znawcy może odróżnić prawdziwą markę od fałszywej.

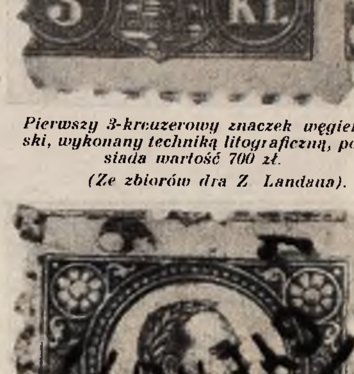
Jako dzieło sztuki minjaturowej marka musi być oczywiście bez zarzutu, a obraz na marce powinien być albo całkiem czysty, albo też tylko bardzo lekko przestemplowany. Tem się też tłumaczy okoliczność, że wielu zbieraczy zbiera jedynie marki zupełnie nieużywane. Cena takich marek starych, to jest t. zw. klasycznych, jest nawet wyższą od ceny marek używanych.

A ileż przyjemnych wrażeń daje nam filatelja! Jakiż urok ma naprzykład znalezienie starego listu (dawniej kopert nie używano a marki nalepiano wprost na liście) z marką z dawnych czasów. Mam przed sobą list znaleziony w jednej z antykwarni krakowskich, datowany z Florencji z marką w. ks. Toskany, zaadresowany do Pani Hrabiny X, Kraków, Dom Własny. List z roku 1853. A więc w owym czasie w Krakowie znano się wzajemnie tak dobrze, że adres ulicy był zbyteczny. A potem treść tego listu. Młody adept sztuki, kształcący się we Florencji, pisze o swych wszystkich troskach i radościach. List świeży i dobrze utrzymany, stanowiący jedyny ślad po jego autorze i adresacie, którzy już dawno spoczywają w Bogu.

A jakiż urok ma poszukiwanie starych marek w starej korespondencji i starych aktach. Przed kilku laty w przeznaczonych do zniszczenia aktach sądowych znalazłem polskie marki z roku 1862 na listach — marki wydane dla Kongresówki przez Rosję. Marki te są przez polskich zbieraczy bardzo poszukiwane. W Warszawie żyje pewien zbieracz, który tylko tę jedną markę zbiera w rozmaitych odcieniach i otrzymał za ten zbiór złoty medal w Niemczech. Znaczki te znajdowały się w aktach powstańczych. Powstańcy z roku 1863, przekroczywszy granicę austrjacką, poddani byli dochodzeniom karnym o zbrodniczą działalność przeciwko „zaprzyjaźnionemu mocarstwu". Na akta te, zawierające bardzo ciekawy materjał historyczny zwróciłem uwagę ówczesnego sędziego dra Muczkowskiego i w ten sposób uratowane zostały od zniszczenia.



Pierwszy 3-kreuzerowy znaczek węgierski, wykonany techniką litograficzną, posiada wartość 700 zł. (Ze zbiorów dra Z. Landaua).



Węgierski znaczek 3-kreuzerowy, wykonany techniką stalorytową, posiada jedynie wartość kilku złotych. (Ze zbiorów dra Z. Landaua)

WYSPA SŁOŃCA

J. M. BRZESKI. **NOWELA.**

Była może 11 w nocy. Siedziałem przy biurku, przeglądając akta spraw, które jutro miałem prowadzić. Dym papierosa snuł się wąską, siną wstęgą ku górze. Oderwałem oczy od zapisanych stron i spojrzałem na błękitną smugę. Drgnęła gwałtownie i zakołysała się. W tej samej chwili doznałem uczucia, że ktoś stoi za mną i obserwuje mnie. Nie mogłem zapanować nad sobą i odwróciłem się gwałtownie. Nie było nikogo. Po chwili jednak nejasne uczucie opanowało mnie ze zwojoną siłą. Wstałem od stołu.

Gabinet, w którym pracowałem, był pogrążony w mroku. Za mną znajdowało się okno zasłonięte pluszową kotarą, tłumiącą wszelkie odgłosy, pochodzące z ulicy. Zajmowałem mieszkanie na I piętrze w willi, której parter zamieszkiwali właściciele tego domu.

Z uczuciem, że za portjerą mogę znaleźć powód mego niepokoju, odchyliłem ją i wyjrzałem do małego ogródka przed willą. Księżyc wynurzył się właśnie z za chmur. Na dole nie było nikogo.

Zasłoniłem okno i wróciłem do biurka, oświetlonego małą lampą — namyślając się, czy nie jestem przepracowany, gdy naraz powietrze przeszył przeraźliwy krzyk, który zawirował złowrogo w pustce i ciszy mego gabinetu.

Jak szalony wybiegłem do hallu. Paliło się tam światło, a mój służący wciągając na ramiona marynarkę, podszedł do mnie i zapytał:

— Zdawało mi się, że ktoś krzyknął .. jakiś kobiecy głos?

Nie czekając na odpowiedź, Jan podbiegł do drzwi wchodowych i otwarł je. Ja chwyciłem latarkę elektryczną i wybiegłem za nim. Na schodach było ciemno. Zbiegliśmy na dół. Zacząłem gwałtownie dobijać się do drzwi państwa Leńskich. Upłynęło parę chwil, zanim posłyszałem kroki i drzwi otwarły się.

— Czego panowie sobie życzą? — spytała zaspana pokojówka.

Wytłumaczyłem jej co nas sprowadza, ale dziewczyna zdawała się niebardzo rozumieć o co chodzi.

— Ależ, proszę pana doktora — nikt nie krzyczał. Byłabym się obudziła — może na ulicy — mówiła urywanie.

— Proszę zobaczyć do pokojów. Być może, że panienka nie słyszała nic. Pomimo wszystko proszę zapytać państwa — nalegałem niezrażony.

Pokojówka wzruszyła ramionami i poszła w głąb mieszkania. Gdy po chwili wróciła, dowiedzeliśmy się, „że panienka nie śpi i mówi, że niczego nie słyszała.. a pana niema w domu. Jak zazwyczaj, wróci pewno i dziś nad ranem...".

Nie wiem, jakie mieliśmy miny. Przypuszczam, że bardzo stropione. Przeprosiłem za niepokój i skonfundowany zawróciłem do siebie, zastanawiając się, skąd mógł pochodzić okrzyk, który nas zaalarmował. Oprócz mnie i mego służącego oraz państwa Leńskich nikt więcej nie mieszkał w tym domu. Żaden zaś okrzyk z zewnątrz nie mógłby być tak intensywny. Wróciłem do mieszkania, nie przypuszczając, że jeszcze tej nocy zaskoczy mnie drobne, nie dające się wytłumaczyć wydarzenie.

Oto w chwili, gdy znalazłem się znowu w swym pokoju i zasiadłem do biurka, aby przy pracy odzyskać spokój — gdy wzrok mój padł na małą karteczkę, leżącą na aktach, które przeglądałem przed opisanym alarmem. Na skrawku białego papieru wyrysowane było ołówkiem słońce; kółko z falistemi promieniami wkoło.

Trudno doprawdy wyobrazić sobie moje uczucia, gdy patrzyłem na ów świsek. Wiedziałem, że nie było go tu poprzednio, skąd więc mógł się wziąć na mym biurku? Kto go położył? Komu mogło zależeć na pozostawieniu tego dziwnego znaku?

— — — — — — — — — —

Minął tydzień. Przez cały ten czas nie wydarzyło się nic godnego uwagi. W międzyczasie złożyłem wizytę moim gospodarzom i przedstawiony pannie Helenie, prosiłem o przebaczenie za niepokój, jaki sprawiłem.

Któregoś popołudnia siedziałem w mym gabinecie i paląc papierosa przeglądałem pisma, gdy mój służący zameldował, że panna Helena Leńska pragnie się ze mną rozmówić.

Poderwałem się, by przywitać gościa. Byłem zaskoczony niespodziewaną wizytą. Helena była bardzo zdenerwowana i nie potrafiła pomimo wysiłku opanować swych uczuć. Jej blada twarzyczka wydała mi się prawie przeźroczystą. Silnie podkrążone oczy wyrażały niepokój i mówiły o łzach.

— Czemu mam przypisać miłą i tak niespodziewaną wizytę — spytałem.

— Wiem, że odpoczywa pan i że mu przeszkadzam — powiedziała swym miłym głosem Helena — ale... musi mnie pan poratować. Moja ciotka jest jedyną osobą, zajmującą wraz ze mną mieszkanie, a jej nie mogę się zwierzyć, znając jej wrażliwość.

— No, a brat pani?

— Brata niema w domu... od siedmiu dni nie zjawił się... właśnie w tej sprawie przychodzę.

— Od siedmiu dni? Czyżby więc owej nocy zdarzyło się coś, co...

— Ach jak żałuję, — wybuchnęła nagle Helena, — że nie powiedziałam panu wtedy wszystkiego... Ale wyślałam, że jestem bardzo nerwowa i... głupia i nie przyznałam się.

Domyśliłem się, że owej nocy zdarzyło się coś bardzo dziwnego i że mój niepokój, okrzyk i tajemnicza kartka muszą mieć jakiś zagadkowy związek. Przynagliłem więc Helenę, aby opowiedziała mi wszystko zupełnie szczerze.

— Tego wieczoru — rozpoczęła — wróciłam wraz z ciotką z teatru. Byłam bardzo zmęczona i nie jedząc kolacji udałam się do swego pokoju. Przypomniałam sobie, że muszę wysłać ważny list, więc usiadłam przy biurku i właśnie w tej chwili na blat stołu upadł jakiś papier... Nie wiem skąd się wziął. Pamiętam, że zerwałam się od stołu i krzyknęłam przerażona. Zapaliłam światło na środku pokoju i ono mnie uspokoiło. Spojrzałam na list. Był zaadresowany ręką mego brata do mnie. W kopercie znalazłam czek na 2 miljony złotych i list, w którym brat donosił mi, że załatwił fantastyczną trasakcję i że zmuszony jest wyjechać na parę dni. Prosił mnie, abym podjęła pieniądze i złożyła na swoje konto w banku przyjaciela naszej rodziny. Wszystko to wydało mi się dość tajemnicze, ale przywykłam do niespodzianek mego brata. W chwili, kiedy służąca zbudzona przez pana przyszła zapytać co się stało — zawstydziłam się mojego przerażenia i kazałam powiedzieć...

— Wiem, wiem — przerwałem podniecony — czy pani ma przy sobie list brata i czek?

— Czek zrealizowałam już, a oto list — powiedziała Helena, wręczając mi białą kopertę.

Wyjąłem arkusz papieru. Treść nie przynosiła niczego nowego. Nagle drgnąłem. W rogu papieru widniało maleńkie słońce — narysowane ołówkiem. Nie chciałem niepokoić mego gościa memi podejrzeniami, lecz Helena zauważyła moje podniecenie. Chwyciła mnie za rękę i wpatrując się we mnie badawczo, rzekła:

— Pan coś wie o tej sprawie. Proszę niczego nie ukrywać przede mną jeśli mamy działać wspólnie.

Patrzyła na mnie nieomal błagalnie swemi pięknemi oczami, a ja nie mogłem się powstrzymać od myśli — jak uroczą jest ta młoda dziewczyna, którą poznałem w tak dziwnych okolicznościach. Opowiedziałem Helenie o tajemniczej kartce, którą znalazłem na mem biurku.

— Co to wszystko znaczy? — wyszeptała bezradnie. — Co robić?

— Trzeba działać i to jak najszybciej — odpowiedziałem. — Proszę być dobrej myśli i iść wypocząć, ja tymczasem poszukam odpowiedzi na te pytania, które zadała nam rzeczywistość... odpowiem na nie! — dodałem, patrząc w oczy Heleny.

— — — — — — — — — —

Jeszcze tego wieczoru przeprowadziliśmy wraz z Heleną poszukiwania w pokoju jej brata. Przetrząsnęliśmy wszystkie skrytki, szuflady i szafy. Na komodzie na srebrnej tacy leżało parę listów, biletów wizytowych. Jedna z kopert zawierała list z prośbą o przybycie do klubu „Carlton" w dniu 20 czerwca. List datowany był 19 tegoż miesiąca, a więc na trzy dni przed zniknięciem brata Heleny. Pod spodem widniało nazwisko: Eryk Rumpe Lewenbeck.

— Nigdy nie słyszałam o znajomym brata tego nazwiska — zauważyła Helena.

— Przypuszczam, że brat pani miał wielu przyjaciół. Proszę mi jednak powiedzieć od jak dawna należał on do klubu.

— O, to stare dzieje. Jeszcze przed pięciu laty zapisał się on do „Carltonu". Często opowiadał o wieczorach tam spędzonych. Zczasem klub stał się jego namiętnością. Chodził tam codzień. Wiem, że grał w karty. Nie byłam z tego zadowolona...

— Trzeba będzie odwiedzić klub — rzuciłem w zamyśleniu. — Może tam dowiemy się czegoś nowego. Jutro też pójdę do banku i sprawdzę kto złożył pieniądze do pani dyspozycji.

Wizyta moja w banku nie dała żadnych rezultatów. Dyrektor oświadczył, że pieniądze dla Romualda Leńskiego zostały złożo-

ne przez jegomościa nazwiskiem Oskar Rotklif. Kasjer wezwany do gabinetu dyrekcji nie potrafił dokładnie określić tajemniczego klienta.

Wróciłem do domu na obiad i tu dowiedziałem się, że Helena kilkakrotnie przysyłała po mnie. Zaraz więc po obiedzie zeszedłem na dół.

Helena robiła wrażenie bardzo przygnębionej, gdy jej opowiedziałem o wyniku mego wywiadu. Patrzyła na mnie badawczo, jakby chciała sprawdzić, czy czego nie ukrywam.

Tego samego dnia wieczór poszedłem do „Carltonu". Wielki szary budynek, ciężki i bardzo masywny błyszczał wśród ciemnych drzew wszystkiemi oknami.

W hallu „Carltonu" zawołałem portjera i kazałem się zaprowadzić do gabinetu zarządu. Na pytanie, czy znanym tu był Oskar Rotklif lub Eryk Rumpe Lewenbeck otrzymałem odpowiedź, że ten ostatni był kilka razy w klubie wprowadzony i w towarzystwie Romualda Leńskiego. Przeprosiłem prezesa i udałem się do sali klubowej. Zapytania skierowane do służby nie dały żadnego rezultatu. Uczułem szczery żal do Heleny, że tak długo zwlekała z powiadomieniem mnie o zniknięciu jej brata. Chciałem jej pomóc i teraz pasja mnie ogarniała, że nic jakoś się nie udawało.

Zrezygnowany usiadłem przy barze. Młody, wesoły chłopak z niebywałą wprawą zabrał się do przyrządzenia koktailu. Przyjrzałem mu się z uwagą. Jego jednego nie zapytałem jeszcze, co wie o owym wieczorze, kiedy tu był po raz ostatni Romuald Leński. Zagadnąłem go o to.

— O tak — brzmiała odpowiedź. — Znam pana Leńskiego doskonale. Często przesiadywał u mnie przy barze.

— Kiedy pan Leński był w klubie po raz ostatni?

— Pamiętam ten wieczór dobrze, ponieważ pan Leński był wtedy w doskonałym humorze. Przyszedł do nas z jakimś panem i opowiadał głośno, że zrobił doskonałą transkację. Wyrażał się nawet dość dziwnie... Tak, tak, pan Leński był wtedy — jak mi się wydało — pod dobrą datą...

Barman przerwał — jakby zawstydzony swą gadatliwością i niedyskrecją.

— Jak wyglądał jegomość, który z nim przyszedł?

— Był to wysoki, szczupły mężczyzna. Był bardzo poważny, ale dobrze się bawił u nas. Ciągle rozmawiali z sobą. Pamiętam, że gdy odchodzili, wysoki pan powiedział: Zaraz każę memu sekretarzowi załatwić tę sprawę.

— O której to mogło być godzinie?

— Może była dziewiąta wieczór. Panowie poszli do salonu obok. Widziałem ich jeszcze potem około jedenastej. Spiesznie opuścili klub...

Gdy wychodziłem z dorożki przed mym domem, ogarnęło mnie jakieś zwątpienie w skuteczność mych usiłowań. Odczułem niejasno, że cała ta sprawa jest tylko jakiemś nieporozumieniem.

— — — — — — — — — —

Od tego ostatniego zdarzenia upłynęło wiele tygodni. Wszystkie moje wysiłki w celu wykrycia miejsca pobytu Romualda i natrafienia na ślad transakcji, która przyniosła Helenie miljony, spełzły na niczem. Nie pomogły ogłoszenia, pomoc policji i przeróżne fortele. Romuald wpadł jak kamień w wodę, a tajemnicze listy i znaki słońca pozostały zagadką. Helena, która widziała bezowocność wszystkich wysiłków, była bardzo przygnębiona. Powoli jednak wróciła do normalnego stanu. Któregoś dnia siedzieliśmy w jej saloniku, popijając kawę.

— Jestem panu taka wdzięczna — rozpoczęła Helena — za wszystko, co uczynił pan dla mnie, że nie potrafię tego nawet opowiedzieć. Byłam sama, opuszczona i bezradna... Gdyby nie pan, nie wiem, czy dałabym sobie radę ze swemi nerwami.

Patrzyłem na Helenę i nie wiem już po raz który podziwiałem jej urodę.

— Mam wrażenie — odpowiedziałem — że dla pani uczyniłbym o wiele więcej...

Spojrzała na mnie zarumieniona i powiedziała:

— Wierzę panu, bo... kocham cię Edwardzie...

— — — — — — — — — —

Była może piąta w nocy, gdy obudził mnie dzwonek telefonu. Zapaliłem światło i zdjąłem słuchawkę.

— Hallo, kto mówi? — zapytałem sennie.

— Tutaj Kapitanat Portu w Gdyni. Chcieliśmy mówić z panem Ilskim...

— Jestem przy aparacie...

— Statek „Korona" — brzmiał głos w telefonie — zawinął wczoraj do portu, a kapitan tego statku zgłosił, że na jego pokładzie przebywa rozbitek, którego wydobyto z morza na wysokości Martyniki. Człowiek ten nazywa się Leński i prosił, aby za pośrednictwem pana zawiadomić jego siostrę, że czeka na nią w Gdyni. Pan Leński po wydobyciu go z morza rozchorował się z wyczerpania i dotąd znajduje się w gorączce.

— Dziękuję panu! — krzyknąłem do telefonu. — Przyjeżdżamy najbliższym ekspresem.

— — — — — — — — — —

Po przyjeździe do Gdyni udaliśmy się do kapitanatu a stamtąd do szpitala.

W pokoju białym i słonecznym spoczywał na łóżku Romuald. Znałem go z widzenia, lecz to co pozostało ze zdrowego, kwitnącego młodzieńca, było chyba jego cieniem. Helena bez słowa podbiegła do łóżka i całując brata rozpłakała się.

— — — — — — — — — —

Opowiadania, które wkrótce rozpoczął Romuald, wysłuchaliśmy w milczeniu. Było ono przygodą nie z tego świata.

— Muszę cię najpierw przeprosić, Heleno — zaczął Romuald — za zmartwienia, jakich ci przysporzyłem. Panu, Edwardzie, dziękuję za okazaną pomoc. A teraz pozwólcie, że opowiem wam, jak to wszystko się stało.

Otóż któregoś dnia zgłosił się do mnie niejaki Eryk Rumpe Lewenbeck — będę go nazywał Igelstrom, gdyż takie było jego prawdziwe nazwisko. Igelstrom wiedział, że mam stosunki w wielkim przemyśle. Chodziło mu o dostawę jakichś motorów do centrali elektrycznej. Za mojem pośrednictwem dokonał transakcji, po ukończeniu zaś interesów zaprosił mnie na kolację.

Tak się stało, że Igelstrom spóźnił się na okręt do Hamburga, wobec czego zatelegrafował po swój jacht, który stał w tym porcie. Miał jeszcze parę dni czasu. Wprowadziłem go do Carltonu. Dopiero po paru dniach spostrzegłem, że mój znajomy jest jakimś dziwnym człowiekiem. Uczucia tego nie potrafiłem spocząktu uzasadnić.

Któregoś wieczoru siedzieliśmy w Carltonie. Wypiliśmy dużo. Nie wiem jak do tego doszło, dość, że Igelstrom powiedział: „Jestem panem słońca". Wśród żartów i śmiechu zacząłem się z nim przekomarzać i oświadczyłem, że to ja jestem jedynym i wyłącznym władcą płonącego globu.

Jak powiedziałem byliśmy w nastrojach bardzo wesołych. Zaproponowałem Igelstromowi, że mogę mu sprzedać słońce wraz ze wszystkiemi do niego prawami. Mój znajomy popatrzył na mnie dziwnie i zaproponował kupno. Zgodziłem się. Traktowałem wszystko jak dobry kawał. Igelstrom jednak stał się oficjalny i zapytał o warunki. Bez namysłu rzuciłem sumę dwóch miljonów. Bez słowa wypisał czek na tę sumę i pomimo moich protestów wręczył mi go. Pomyślałem sobie, że mam do czynienia z człowiekiem kompletnie pijanym. Czek wziąłem i wtedy Igelstrom zaproponował mi, abym pojechał obejrzeć jego posiadłość. Jego prośba była raczej nakazem, któremu nie miałem siły się sprzeciwić. Napisałem list do ciebie i załączyłem czek. Cieszyła mnie myśl o twem zdumieniu, gdy zobaczysz świstek na taką sumę...

Tego samego wieczoru wyjechaliśmy ekspresem gdyńskim. Nazajutrz odpłynęliśmy z Gdyni na pokładzie jachtu. Igelstrom stał się innym człowiekiem. Zauważyłem, że załoga boi się go. Przyznam, że czułem się bardzo nieswojo w tem milczącem otoczeniu i przy pierwszej okazji uciekłbym. Któregoś dnia Igelstrom kazał mi podpisać akt kupna i sprzedaży słońca.... Teraz byłem pewny, że odbywam podróż z szaleńcem.

Żeglowaliśmy wiele tygodni. Było coraz goręcej. Któregoś wieczoru Igelstrom powiedział, że zbliżamy się do celu. I rzeczywiście, nazajutrz zarzuciliśmy kotwicę. Łodziami przeprawiliśmy się do brzegu tonącego w bujnej roślinności podzwrotnikowej. Poprzedzani służbą udaliśmy się wąską ścieżką wgłąb lądu. Po jakimś czasie — naraz bez żadnego przejścia znalazłem się wśród pięknie utrzymanego ogrodu. W głębi stał biały dom. Na ścieżce, którą szliśmy, pracował jakiś człowiek. Kiedy zbliżyłem się do niego, odskoczył przerażony wbok. Wtedy zobaczyłem, że był ślepy. Spojrzałem na Igelstroma. Uśmiechnął się jakoś dziwnie — podszedł do ślepca, powiedział coś i zamierzył się na niego. Nie pozwoliłem go uderzyć.

Wieczorem zasiadłem wraz z Igelstromem do kolacji. Gdy wniesiono potrawy spostrzegłem z przerażeniem, że obaj lokaje również byli ślepi. Wtedy Igelstrom powiedział mi, abym korzystał z ostatniej okazji patrzenia i przyjrzał się dobrze wszystkiemu. Zerwałem się. Dość mam wszystkiego — krzyczałem — żądam, aby mnie pan natychmiast kazał odwieźć do najbliższego portu!

— O, mój drogi — syknął Igelstrom, a oczy jego zapłonęły obłędem. Niech pan nie zapomina, że kupiłem od pana słońce. Teraz należy ono do mnie. Pan sprzedał mi go, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Nie myślę teraz z nikim dzielić się jego światłem...

Brzmi to wszystko niedorzecznie. Wtedy jednak nie myślałem bynajmniej o żartach, zamknięty na tej wyspie o tysiące kilometrów od świata, wśród ślepców i z tym szalonym człowiekiem.

Igelstrom ciągnął dalej:

— Czy widzi pan tych wszystkich naokoło? Oto mieszkańcy tej wyspy. To biedacy, którzy nie chcieli lub nie mogli dzierżawić ode mnie ułamków światła i ciepła. Całe życie zamknięty wśród fiordów północy tęskniłem do gorącego, życiodajnego słońca. Prawie całe swe życie i całą młodość poświęciłem pracy, pracy ponad siły, by móc zbliżyć się ku wymarzonemu słońcu. Ileż ciosów musiałem znieść, by dopiąć celu!

Wyspa, na której pan się znajduje została zakupiona przeze mnie. Gdy wprowadziłem się tu, uczułem, że jestem bliski celu. Ci, których tu przywiozłem, lub ci, którzy tu mieszkali — widzieli jak ja i korzystali z dobrodziejstw słońca. Przyszło mi do głowy, że nie zasłużyli na to. Odnalazłem przepaść między sobą a tymi ludźmi, których los uszczęśliwiał niesłusznie. Zwołałem ich do swego domu i kazałem płacić haracz za pobyt na wyspie. Byłem przecież panem tej ziemi, utopionej w morzu słońca.

Cóż jednak pan powie, że ta hołota sprzeciwiła się. Zaczęli mi gorzić. Wtedy zwabiłem ich do swego domu i oślepiłem. O, niech pan nie myśli, że była to bolesna operacja. Kiedyś byłem chirurgiem... Powtarzam panu, słońce jest moje i tylko ja mogę z niego korzystać. Załoga jachtu, to ludzie wyciągnięci z za krat. Oni widzą, bo potrzebni mi są żeglarze, ale żaden z nich nie ucieknie. Woli służbę u mnie, niż stryczek.

Kiedy spotkałem pana w pańskim zimnym kraju — wesołego i tak towarzyskiego, opanowało mnie zdziwienie. Nie przypuszczałem, że można być takim na dalekiej północy. Kiedy zaś powiedział mi pan w Carltonie, że pan jest panem słońca — zrozumiałem wszystko...

(Dokończenie na str. 31-ej).



PANI MOZE BYĆ CZARUJĄCĄ I MŁODĄ, JEŻELI...

SENSACYJNE WYWIADY „ASA" Z GWIAZDAMI EKRANU I SCENY.

Nie przesadzimy chyba, jeżeli powiemy, że 50 procent trosk przyczynia kobietom ich wygląd zewnętrzny i że połowę czasu zużytkowują one na walkę z t. zw. „zębem czasu"! Nie dotyczy to oczywiście wszystkich kobiet, ale w każdej z nich drzemie wrodzona chęć podobania się i zdobywania świata swoim urokiem.

Słyszymy ciągle o zabiegach kosmetycznych, maquillage'u, różnych kąpielach, masażach i t. d. w odniesieniu do gwiazd ekranu i artystek scenicznych. Posiadły one przecież tajemnicę piękności i pilnują jej zazdrośnie. Ale cóż przyjdzie kobiecie z tych wskazówek, jeżeli sama nie jest gwiazdą filmową i nie zdoła wedrzeć się w to strzeżone królestwo piękności? W interesie też wszystkich Czytelniczek „Asa" i pięknych Polek wogóle p. Virginja Vincent przeprowadziła z najwybitniejszemi gwiazdami filmu i teatru nad wyraz ciekawe interviewy, a raczej przyjacielskie pogadanki, w których dowiedziała się wielu tajemnic buduarowych. Zacząwszy od niniejszego numeru, Czytelniczki „Asa" będą mogły czerpać pełnemi garściami wskazówki, jak zachować urodę, lub w braku jej — swoisty urok. Ale właściwie niema brzydkich kobiet, są tylko takie, które o siebie dbają i takie, które nie zważają na swój wygląd zewnętrzny. A tych ostatnich znowu jest minimalny odsetek.

Usłyszymy poniżej co o tych sprawach myśli Claudette Colbert, odtwórczyni Kleopatry. W saloniku gwiazdy rozwija się przyjacielska pogawędka:

— Kobieta, która w obecnych czasach nie używa kredki do ust, robi wrażenie chorej. Kolor jest bezwątpienia najlepszym sposobem stworzenia pięknego obrazu i wywołania dodatniego wrażenia. Chodzi bowiem o t. zw. „pierwszy rzut oka", który powinien decydować o całem późniejszem wrażeniu. W tym wypadku kosmetyki są nie do zastąpienia.

Każda z nas wie, że gdy kobieta przeżyła pracowity dzień, czuje się gorzej jak zwykle, a twarz jej przybiera wyraz zmęczony. — Pod oczami tworzą się podkrążenia, skóra staje się nieco błyszcząca, a wszystko to może wyprowadzić z równowagi. Lecz

Urocza gwiazda Claudette Colbert, nieporównana odtwórczyni Kleopatry, posiada oryginalny wdzięk.





nie należy ogółu wtajemniczać w swoje kłopoty. Wystarczy spędzić kilka minut przed lustrem, aby temu zaradzić! Bladość można pokryć różem, a uróżowane lekko usta będą piękniej się uśmiechały jak blade! Puder doda twarzy spokojnego wyrazu i wygląd zewnętrzny znów przyjmie normalny charakter.

Mówiąc te słowa, urocza czarnowłosa Claudette Colbert podeszła do toaletki, stojącej w jej salonie i wyjąwszy chustkę skropiła ją subtelnemi perfumami.

— Bardzo wiele przykrości zawodowych zaoszczędziłaby sobie niejedna kobieta, gdyby zdała sobie sprawę, że powinna nawet podczas pracy wyglądać ponętnie. Uważam też, że kosmetyki znacznie skuteczniej tworzą lepsze samopoczucie, jak jakikolwiek cocktail.

— Zupełnie swoisty urok daje kobiecie kąpiel. Bardzo lubię ciepłe kąpiele i lekkie pokropienie wodą kolońską. Zwykłam spryskiwać się nią, a następnie wcierać w skórę szyji ostrą rękawicą. Pobudza to ogromnie krążenie krwi i daje duże zadowolenie. Mam wrażenie, że taka kąpiel zmywa całkowicie pozostałości dnia.

Chociaż jest sławną gwiazdą filmową, Claudette Colbert ma równie dużo kłopotu ze swoją cerą, jak każda inna kobieta. Jest ona bowiem u niej dosyć tłusta, to też walczy z tem zawzięcie. Cerze takiej grożą zawsze wągry, a według Miss Colbert najlepszym środkiem przeciwko nim jest mydło i woda. Należy jednak przedtem użyć kremu, a dopiero po dokładnem starciu jego umyć się pianą mydlaną.

— Używam francuskiego czerwonego pudru, który jest tak gęsty jak tylko puder może być wogóle. Ma tę zaletę, że trzyma się silnie tłustej skóry i nie wymaga ciągłych poprawek. Zmieniam zresztą dosyć często puder, dobierając różne odcienie.

To oświadczenie zadziwiło Miss Virginję Vincent, to też zapytała:

— Dlaczego pani zmienia kolor pudru?

— Dlatego, że uważam, iż powinno się wykorzystać wszystkie kolory, tak jak wykorzystuje się nowe kolory modne w sezonie. Przecież i kolor sukni wymaga innego dostosowania się. Zależy to też od natężenia światła podczas dnia. Tak np. podcieniowania oczu należy tylko stosować przy jasnem świetle, natomiast dnie szare wymagają znów innego koloru.

Claudette Colbert jest swoją własną artystką piękności, jeżeli chodzi o jej osobę. Chociaż powierza swoje włosy fryzjerowi, to jednak „wykończenia" fryzury dokonywuje sama. Pomimo, iż pokojówka czeka podczas jej toalety z gotowym puszkiem do pudru na rozkazy, to sławna artystka czyni wszystkie zabiegi kosmetyczne osobiście.

— Używanie kosmetyków jest bezwątpienia sztuką samą w sobie — kończy urocza brunetka. — Wystarcza ona na to, aby dać złudzenie innym, nie wystarcza jednak, aby dać je samej sobie.

Tajemnice Silvji Sidney.

Zupełnie inne poglądy na te kwestje posiada Silvja Sidney. Czy słyszał bowiem ktoś o aktorce filmowej, która jedynie cztery razy w życiu była u fryzjera, nie gimnastykuje się, nie obserwuje djety, nie nosiła nigdy sukien francuskiego pochodzenia i nie używała kosmetyków? — Silvja Sidney przyznaje się do tych wszystkich „grzechów" przeciw kosmetyce z uroczym uśmiechem.

— Czasem używam trochę pomadki do ust, ale niczego więcej. Większość ludzi jest zdania, że używanie kosmetyków daje dużo uroku — mówi piękna gwiazda, opierając swoją główkę na kształtnych rękach i zamyślając się głęboko nad tem zagadnieniem. — Oczy jej o kolorze orzechów laskowych podnoszą się w zamyśleniu. — Uważam, że brak kosmetyków wychodzi bezwątpienia na korzyść każdej pięknej kobiecie. Uważam też za bardzo smutne, że większość kobiet tylko dlatego stosuje kosmetyki, że tego wymaga moda. Życzyłabym sobie, abyśmy były nieco bardziej indywidualne. Wprawdzie niektóre kobiety sądzą, że długie włosy stanowią właśnie dzisiaj cechę indywidualności, ale uważam, że jest to zamało

— Czy pani dlatego tylko nosi długie włosy? — pyta się p. Virginja Vincent.

— Nie — odpowiada skośnooka urocza Silvja. — Noszę je dlatego długie, że łatwiej mi je upiąć. Mogę się nimi osobiście zajmować i codzień myję je mydłem kastylskiem. Włosy mi się kręcą naturalnie ,dlatego też nie potrzebuję stosować sztucznej ondulacji. — Chociaż upodobania moje idą w kierunku rzeczy prostych, to jednak i ja mam swoje słabostki właściwe pięknej płci. Kocham się np. w peniuarach, perfumach i innych drobiazgach. Przyczyniają się one przecież do tej pewnej poezji i romantyczności życia, którą my kobiety kochamy.

— A jakim gatunkom daje pani pierwszeństwo w tym zakresie? — pyta się dalej ciekawa dziennikarka.

— Jeżeli chodzi o perfumy, to bardzo lubię piżmo, a jeżeli chodzi o peniuary, to najchętniej używam na nie złotego brokatu o orjentalnych żywych barwach.

Silvja Sidney jest bodaj-że jedyną gwiazdą filmową, która r z a d k o zmienia stroje. — Jeżeli przywiąże się do jakiegoś kapelusza lub sukni, to nosi je tak długo, póki staną się zupełnie niemodne. — Najciekawszą rzeczą jednak jest to, że u Silvji Sidney niema... niemodnych sukien, one wszystkie bowiem wyglądają na niej uroczo. Umie je nosić z taką finezją i gracją, jakby je dopieroco na siebie włożyła.

— Kobiety powinny mieć własne zdanie — kontynuuje swoje refleksje piękna gwiazda — i nie powinny poddawać się wpływowi przyjaciółek, albo utartych poglądów, które każą im wkładać na siebie ciągle nowe szmatki.

Nic dziwnego, że wobec takich poglądów do domu Silvji Sidney przychodzi więcej nowych książek jak nowych sukien. Największą bowiem jej przyjemnością jest czytanie i nawet krótkie jej chwile między rozpoczęciem nakręcania filmu a ukończeniem przygotowania do niego, Silvja Sidney zużytkowuje na skończenie rozpoczętego rozdziału. Tego rodzaju poglądy i upodobania są wręcz zadziwiające u aktorki Hollywoodu, jak również u młodej dziewczyny, która karjerę swą rozpoczęła od tego, że rozreklamowano ją jako nowy typ piękności. — Ta jedna z najmłodszych gwiazd ekranu chętnie mówi o wzmożonej indywidualności i wymaga od współczesnych kobiet, aby odznaczały się charakterystycznemi cechami.



Silvja Sidney czaruje amatorów kina swym nieco wschodnim, odrębnym typem urody.



Ale i tak dość jest gwaru dziecięcego na plantach. Od krzyku i płaczu dobywającego się z wózków począwszy, na dorosłych zabawach skończywszy. Entele pentele szigi szaj — liczą dziewczynki przerażającemi jakiemiś słowami, aż jedna czmychnie, inne gonią z wrzawą, albo rysują klasy na ziemi i raz poraz krzyk wybucha: „Tyś się skuła! tyś się skuła..."

Po sadzawce dostojnie pływają znaki zapytania nad własnem odbiciem — łabędzie, za niemi w ślad żółtodzióbe kaczki, a przez wodę rozpylaną kręgami od fontanny błyskają złotem i purpurą małe rybki. Lecą kawałki bułeczki w wodę, lecą orzeszki na trawę, lecą ziarnka. Te znów dla gołębi, brzuchatych nicponiów, bezprzykładnych nierobów, ale nieporównalnych ornamentów ruchu, stonowanej barwy i miłego głosu.

Tak się to kłębi to życie w letni dzień słoneczny, dziecięce o zwierzęce zahacza, zabawa tryska śmiechem jak struga wody sodowej w budkach, oazach westchnień dziecięcych.

LUDZIE I ZWIERZĘTA
NA PLANTACH KRAKOWSKICH

Niejedna miła znajomość powstaje przypadkowo na plantach krakowskich.

Taki jest właśnie dzień pogodny, gdy promienie słońca przesiane przez gęstą zieleń drzew, gdy fala zapachów od klombów kwiecistych i krzewów róż, gdy ławka ukryta w cieniu, gdy w powietrzu powiew delikatnego wiatru — no tak, taki właśnie dzień lata pogodnego, słonecznego, wonnego. Planty krakowskie w taki dzień znajdują cały swój urok, strącając wspomnienie białego ogrodu zimy, gdy drzewa puste okryte szronem są jak kształty z zręcznego lukru i wspomnienie rdzawożółkłej symfonji jesienej, gdy w deszczu i wichrze listopada skrzypią śmiertelnie chude gałęzie, jakby nie miały się odrodzić już nigdy w delikatnej wiośnie.

Planty, ten drugi ogród botaniczny Krakowa, skupisko kolistej zieleni dokoła miasta, planty stuletnie w setnych fragmentach najróżniejszych barw i odcieni — to urok, którego mogą zazdrościć i też zazdroszczą inne miasta. Oczywiście, że my, Krakowianie, zgoła obojętnie przechodzimy przez wycinki zielonej formy życia drzewnego, przyzwyczajeni od dziecka do tego niczyjego i naszego ogrodu. Od dziecka — bo od dziecka życie nasze krakowskie z temi się splata plantami.

Są takie odcinki życia naszego, gdy planty są nam niezastąpione. Najpiękniejszy okres wspomnień — dzieciństwo — tu się kołysało, tu karmiło łabędzie, tu z obręczą odkrywało drogi i dróżki tak wtedy duże, tak dalekie od ławki, na której siedziała szczupła postać matki.

I dziś spójrzmy dorosłemi oczyma na dzieciństwo innych. Przybyły im wiewiórki, stokrotna radość dzieci i gołębie, przedtem wyłącznie marjackie. Poznają urok przyrody, czar oswojonego zwierzęcia — w centrum miasta. Toteż nic dziwnego, że nieraz wolą zaprzestać zabawy w klasy, w goniawkę, obręczą czy piłką — a raczej czekać cierpliwie, aż wiewiórka raczy z ich drżącej dłoni wziąć orzeszek.



Na lewo: Wiewiórka „plantowa" jest jedną z najbardziej „ważnych" postaci.



Dobrze jest odpocząć chwilkę, po długiej, męczącej drodze.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA F. NOWICKI KRAKÓW

Ale gdy trochę w jakiejś porze dnia ścichnie fala dzieci na plantach, inni wychodzą karmić wiewiórki lub gołębie albo poprostu chodzić po plantach, siedzieć na ławkach w szarej bezczynności zmierzchu. Panie z żurnalu fin-de-siècle'u, panowie wspierając się na laseczkach. Emeryci niekoniecznie w dosłownem znaczeniu. Emeryci życia.

Dla niejednego z nich wiewiórka, która ufnie podejdzie do starczej ręki, jest promykiem, który rozświetla puste, samotne życie. Każde serce potrzebuje drugiego — a to drugie może być jakie chce, jakie się zdarzy. Może być sercem wiewiórczem, stukającem jak zegarek kieszonkowy pod ciepłem futerkiem, gdy ręką się przyciśnie śmiałe stworzonko zaglądające do kieszeni lub objadające kapelusz — może być i gołębiem



Na prawo: Pierwsze próby rysunku.



Poważna rozmowa toczy się na tematy „zasadnicze".



Poniżej: Wierny towarzysz swego pana nie odstępuje go ani na krok.

sercem, lub sercem, które jest motorem białej łódki — łabędzia. Byle to serce było, byle przyszło czy podpłynęło po kruszkę chleba, po orzeszek.

Taka to miłość emerycka kwitnie na plantach nieraz. A tuż obok zdarzy się i inna. O, całkiem inna — taka u startu dorosłego życia, jak tamta jest u mety.

Do anemicznej panienki z książką z wypożyczalni, siedzącej na ławce podchodzi młodzieniec, dla nas zwykły typ, dla niej Ramon Novarro. Tam znów ich dwoje pod rękę przechodzi ustronniejszą alejką w złudzeniu spokojnego romansu sądząc, że przez całe życie będą mogli iść sobie tak spokojnie jak teraz.

A im dzień więcej się skraca, im liljowsze staje się niebo przeciekające przez drzewa, tem więcej par i parczek, tem są tkliwsze i bliższe.

Któż z nas nie miał randki na plantach? Któż z nas nie czekał na jakiejś ławce lub nie był oczekiwany? Ten młodzieniec chyba także czeka, dla niepoznaki zagłębiając się co chwilę w grubej książce, co chwilę odrywając od niej wzrok i patrząc przed siebie. Nie, pomyliliśmy się — on się uczy. O tak, uczących się jest wielu na plantach, szczególniej w rannych godzinach. Tych nic nie obchodzą przechodnie, piękne panie w przeźroczystych sukniach, dzieci na hulajnogach i wiewiórki. Kują logarytmy czy słówka, znaki chemiczne czy łacinę — do poprawki gimnazjalnej czy do colloquium uniwersyteckiego.

Bo na plantach łatwo można się wyodrębnić od cudzego życia, od pobocznego zgiełku. Nawet nic nie przeszkadza hałas ulicy, który tu przecież dolata, dzwonki tramwaju czy klaksony aut. To swoją drogą — codzienne, hałaśliwe życie ulicy. A aleja plant — oddzielna, pachnąca zielenią i słońcem.

Są też i inne jeszcze typy plantowe. Tacy, co tu siedzą, bo siedzieć tu można zadarmo i ile się chce. Wprawdzie niechętnie i tu na nich patrzą, bo gdzież znajdą przychylne spojrzenie? Ale surowy, pogardliwy czy wyrażający wstręt wzrok bliźniego znany im już jest i zwyczajny. Osadzają swe łachmany na ławce, obok tobołek i kij, zdrzemną się czasem, czasem noc ich nawet tu zaskoczy i wtedy znów nie wolno. Nie wolno spać na plantach, które przez dzień — zda się — wszystkich i niczyje, w nocy nabierają charakteru poważnie w paragrafach podkreślonego miejsca użyteczności publicznej i przeto nienadającego się nawet na gratisowy nocleg dla tych, którzy nie nie mają.

Ale noc na plantach to znów coś innego. Błysły lampy — mleczne kule. Gdzie słabo pada ich światło, na ławkach jeszcze pary lub gromadki, czasem śpiew się zerwie nucony, czasem klaśnie pocałunek.

Gdzie nie dociera blade światło lamp, tam zaczyna królować noc, która w gruncie rzeczy zawsze i wszędzie jest jednaka, znacząc się alkoholem, nędzą, brudem.

Lepiej więc zamknijmy oczy na noc plant, mając w nich ich dzień słoneczny, dzień lata, wpleciony w obręcze dzieci, w ich śmiech, w szyje łabędzie i pląsy wiewiórek po konarach drzew, w krzewy różane, pomniki, zabawę lub samotność dzieci, dorosłych i starców. Im planty dają uśmiech i wypoczynek, ciszę i spotkanie, zadowolenie, schronienie, rozrywkę. Szumią stuletniemi drzewami, pachną kwiatami, szemrzą srebrną fontanną... I tak roztacza się w Krakowie przez dzień i noc baśń plant, bujna i żywa w lecie, zmieniająca się, gdy jesień nad miastem się pochyli, gdy ziemia białemi soplami palców ściśnie, gdy wiosna znów wybuchnie ekstazą pieśni i woni...

Witold Zechenter.





Na lewo: Jeden z uroczych zakątków plant krakowskich. Poniżej: Łabędzie największej sympatji znajdują chyba u pięknych pań.

Szukamy piękna w kryształach

Przyroda jest źródłem piękna. To, co my ludzie uważamy za piękne, jest tylko stosunkowo rzadko dziełem rąk ludzkich. Piękne formy spotykamy w przyrodzie nieraz zupełnie niezależnie od ingerencji ludzkiej. To samo oczywiście da się powiedzieć o przyrodzie żywej. O tem więc tutaj mówić nie będziemy. Napozór o wiele mniej piękna znajdujemy w rzeczach martwych. A jednak jakże często spotykamy w przyrodzie niesłychanie konsekwentnie i planowo zorganizowane formy, które już przez to samo odwołują się do naszego poczucia estetycznego! Samo wmyślenie się w matematycznie doskonałą budowę materji daje wtajemniczonym wielkie zadowolenie estetyczne. W mikrokosmosie martwym ta piękność form jest niemal regułą. Dlatego też w mikroskopie obserwować możemy niesłychaną ilość fantastycznie pięknych kształtów i linij.

Postacią zorganizowaną, pod którą występuje materjał,, będący w stałym stanie skupienia — to kryształ. Nic dziwnego, że wśród kryształów znajdujemy przebogatą różnorodność form, wymyślonych chyba przez największego artystę świata. Wystarczy przypomnieć piękne kształty drobniutkich kryształków lodu, występujących zarówno w pojedynczych płatkach śniegu lub skupionych w rysunku fantastycznym w postaci kwiatów na oknie. Jakaż panuje tu niebywała rozmaitość form krystalicznych. Ludzie w mądrej i pięknej nauce, zwanej krystalografją potrafili wszystkie te odmiany sprowadzić do kilku zaledwie form podstawowych, t. zw. grup krystalograficznych.

Kryształy otrzymuje się w sztuczny sposób, gdy materja przechodzi ze stanu skupienia gazowego lub ciekłego w stały. W pierwszym wypadku mamy t. zw. sublimację, w drugim zaś, o wiele częstszym, kryształ tworzy się bądźto z roztopionej masy przez chłodzenie lub też z roztworu, w którym był rozpuszczony. Wydobywanie kryształów posiada w technice doniosłe znaczenie, albowiem jest to jeden z najlepszych sposobów uzyskiwania materji w stanie czystym. Zarówno cukier, jak i sól oraz rozmaite związki chemiczne używane w przemyśle doprowadza się umyślnie do formy krystalicznej. Uzyskujemy je różnemi drogami. Albo usuwamy nadmiar rozpuszczalnika przez ogrzewanie i wyparowanie cieczy i doprowadzamy ją do stanu nasycenia a nawet przesycenia, kiedy to kryształy spontanicznie z cieczy się wydzielają, albo też czynimy to w sposób wprost przeciwny przez ochładzanie roztworu i doprowadzamy znowu do stanu nasycenia. Przy niższej bowiem temperaturze o wiele mniejsza ilość ciała stałego może się znajdować w danej ilości roztworu, aniżeli przy temperaturze wyższej. We wszystkich tych wypadkach szybkość, z jaką proces krystalizacji się odbywa, posiada doniosłe znaczenie. Otrzymujemy kryształy duże, gdy krystalizacja odbywa się spokojnie i wolno. Kryształy drobne zaś są wynikiem krystalizacji gwałtownej i przyspieszonej.

Na wygląd kryształu posiada doniosły wpływ nawet najdrobniejsza ilość nieczystości, zawarta w cieczy, w której kryształ powstaje. Przez sztuczne zanieczyszczenie można uzyskiwać niektóre specjalne, wyszukane formy kryształu. Na załączonych ilustracjach widzimy właśnie, jakie skutki wywołują drobne domieszki podczas krystalizacji. Są to przeważnie związki organiczne. Ogrzewając te związki aż do ich roztopienia, a pozwalając na powolne ochłodzenie, otrzymujemy kryształy, które dzięki właśnie minimalnym domieszkom obcych ciał przybierają formy estetycznie niezwykle ciekawe, działające silnie na zmysł artystyczny. Obce domieszki powodują zatem, że drobiny kryształów układają się w sposób wyszukany i charakterystyczny dla danego ciała. Dzięki temu można owe ciała łatwiej rozpoznać, co ma niemałe znaczenie w chemji. Na ilustracjach widzimy kryształy powstające przy ochładzaniu stopionej santoniny, przy wykrystalizowaniu dwuchromianu potasu w żelatynie, i formy powstające przy krzepnięciu stopu kwasu kamforowego z żywicą sztuczną a wreszcie kryształy krzepnącej siarki. Wszystkie te obrazki są dziwne i zastanawiające. Zastanawia tylko fakt, że dotychczas ludzie tak mało korzystali w swojej twórczości artystycznej z tego bogatego źródła.

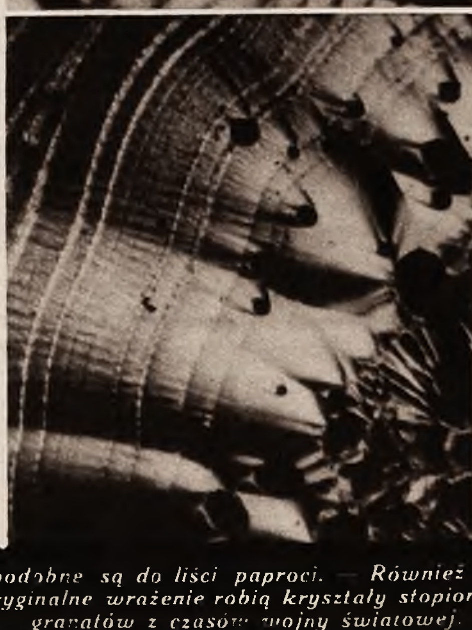
Inż. J. A.



Kryształki kwasu kamforowego ze sztuczną żywicą przypominają mechanizm zegarka.







Od góry: Kryształy krzepnącej siarki podobne są do liści paproci. — Również dziwnie a pięknie wyglądają kryształki dwuchromianu potasu w żelatynie. — Oryginalne wrażenie robią kryształy stopionej santoniny, przypominające jakieś „leje" granatów z czasów wojny światowej.

Dola i niedola żniw.







Powyżej: Już zdaleka człowiek zżyty z ziemią poznaje po nachyleniu i „sylwetce" zboża przyszły zbiór.
Powyżej na prawo: Jak spojrzeć szeroko i daleko wszędzie widać wozy uginające się pod ciężarem zboża, dążące do stogu lub stodoły.

Na polach, pozbawionych swej bujnej czupryny zbóż, powstają stogi, które zależnie od dzielnicy przybieraja różne postacie.

Zboże dojrzało.

Zakołysały się kłębiastym łukiem kłosy, zginając z powagą swoje kiście przed żniwiarzami.

Zboża zalały potokiem pola, dokąd okiem sięgnąć i czekają upragnionego spoczynku w stodole.

Brzęknęły kosy i sierpy, zaturkotały rytmicznym jękiem żniwiarki, ścinając bez miłosierdzia zboże.

Na placu legły pierwsze snopy żyta. Od wschodu do zachodu słońca żniwiarze pracują, aż do ostatniego tchnienia. Spoglądają na wszystkie strony świata, szukając w obłokach zdradzieckiej chmurki. A gdy słońce rzuci im ostatnie swe promienie na pożegnanie, rzucają z brzękiem kosy, sierpy i z lubością patrzą na dzieło swej pracy, ocierając rękawem pot z czoła.

— Boże, daj pogodę na jutro! — szepcą scicha ludzie pracy. Boże, odwróć od nas burze z piorunami! — dodają i żegnają snopy na polu do jutra.

Niebo, jakby zaczarowane modlitwą rolnika jest coraz piękniejsze, coraz barwniejsze, wygląda, jak bławaty, takie błękitne, takie przecudne i dobre.

O, dobre niebo! Masz litość nad chłopem w dzień upalny, we żniwa, kiedy rolnik ostatkiem sił ścina zboże, żeby przez cały rok aż do następnego plonu żywić cały naród, całe społeczeństwo. Natura szanuje wysiłki chłopskie, szanuje jego pracę, błogosławi ją, cudną poranną zorzą, zapewniając mu przez cały dzień upragnioną pogodę.

Zdawałoby się, że już nic i nikt nie zamąci spokoju rolnikowi przy pracy żniwnej, tymczasem całe żniwa przedstawiają się ciężko. Jest to wielkie widowisko dramatyczne, którego akcja toczy się szybko, nagle, aż do finału, aż do troski o byt.

Błogosławione błękitne niebo, które pozwala chłopu wykonać na polu mozolną pracę!

Przeklęci niech będą ludzie złej woli, którzy zjawiają się w chwili najszczęśliwszej dla chłopa, we żniwa, jak upiory i ścięte zboże związane w snopy zabierają mu na zawsze, na wieki!

Żniwa w pełni...

O świcie lud wiejski zajmuje swoje miejsca przy pracy na stanowisku. Zboże pada pod kosami i sierpami i z minuty na minutę rodzą się snopy.

Smagłe są te snopy z koronami na głowie. Nie królewskie to korony, ale bogate i hojne w jędrne ziarno. Lud wiejski nie ma chwili wolnej, żniwa pilą, a zboże dojrzało. Nie mają śniadania, obiadu, kolacji, zawsze na polu. Noc ich wygania i noc ich przygania. Jakież mają wynagrodzene za tę pracę? Zaczyna się *Akt pierwszy:*

Żniwa!

Ludzie ścinają zboże, snopy leżą na polu. Zbliża się wieczór: — Słuchajta żniwiarze! — mówi szeptem gospodarz. Wszyscy nadstawiają ucha.

— Słuchomy wos, Wojciechu.

— Snopki zniešta w niz i tam ułózta je nie w dziesiątki, a na płask.

— Łocego? — pytają zaciekawieni żniwiarze, wszak Wojciech złamał prawo tradycyjne żniwa wiejskiego.

— Lotego! — odpowiada gospodarz. — że sekwestrator przyjechoł do Czernięcina i łoto po polach.

— Po polach? — zdziwili się żniwiarze

— A jušci, że po polach. Szuko zrzętego zboża, gotowe jucha snopki zabiro za podotki.



Polska wieś posługuje się nowoczesnemi żniwiarkami, zaoszczędzającemi dużo pracy rolnikowi.

Słuchacze posmutnieli, a stary Wojciech ukrył twarz w spracowanych dłoniach i jęczał, jakby na pogrzebie ostatniego swojego dziecka.

Nagle gdzieś daleko zakrakał złośliwie gawron. Żniwiarze obejrzeli się bacznie dookoła i chwycili za snopy i ciągnęli je w niż, oglądając się poza siebie ze strachu. Ciągnęli snopy, ciągnęli pracę całego dnia, żeby ją ukryć przed niebezpieczeństwem.

Akt drugi. Na polach słychać przeraźliwy krzyk, pisk i lamenty kobiet, wreszcie spazmatyczne łkanie. To rozwielemożnił się pan sekwestrator, zabierając chłopom ułożone w dziesiątki snopy.

Krzyk potężnieje, wzrasta i płynie hen pod niebiosy, do Boga ze skargą, płynie i milknie w atmosferze, a sekwestrator prowadzi żniwo. Żniwiarze chwytają snopy i ukrywają je w innem niezrzętem zbożu.

Burza mija!

Była to gorsza burza od huraganu z piorunami. Było to przekleństwo ludzkie. Po burzy, jak zwykle następuje błoga cisza.

Akt trzeci. Zaczyna się rozmyślanie żniwiarza nad swoją dolą i niedolą, rozpoczynają się żmudne obliczania plonu i wydatków, układanie budżetu, przyczem posługuje się on staremi, prymitywnemi sposobami człowieka, dla którego cyfry stanowią abstrakcję, chociaż posiada wyczucie gospodarcze swoich spraw. Tak od wieków chłop pomstuje na ludzi miejskich, którzy przychodzą na jego pola, dopominając się o należności. Zmieniały się słupy graniczne, upadały jedne rządy i przychodziły drugie, zawsze jednak sekwestrator pozostał symboliczną figurą, dręczącą chłopa po żniwach. Ano trudno! Były dobre czasy markowe, zboże szło w zawrotnem tempie w cenie, chłop kupował sobie lakierki i fortepiany, sprowadzał sobie meble z miasta, ot tak dla „„fasonu", bo ich często wcale nie używał, to musiały też przyjść czasy cięższe. Różnie bywa w życiu, raz pod wozem, raz na wozie.

Ale ziemia pozostaje zawsze jedna, święta karmicielka, wdzięczna matka. Czy w doli, czy niedoli ona najlepiej przyhołubi człowieka.

Mimo wszystko, mimo kryzys i niskie ceny zboża, żniwiarze idąc do domu, śpiewają.

Żniwa w pełni!

Paweł Krzowski.

Kobieta podczas żniw wykonywuje niemniej mozolną pracę od mężczyzny, wiążąc snopki za żniwiarką lub żniwiarzem.



KORONY
czekają w garderobie historji...

Gdy lat temu kilka wyraziłem wobec mego przyjaciela ubolewanie z powodu detronizacji sympatycznego Alfonsa XIII., wzruszył on ramionami i rzekł:

— Drogi Panie, z monarchjami jest bardzo źle. Wkrótce będziemy mieli tylko dziewięciu królów na całym świecie.

— Jakto dziewięciu? — zapytałem.

— Ano tak, dwóch w szachach, czterech w kartach i trzech po Nowym Roku!

Mój przyjaciel był kiepskim politykiem, obecnie poważnie myśli się o restytucji trzech królestw: w Grecji, Austrji i na Węgrzech.

Gdy myślę o restytucji monarchji, pierwsza rzecz, która mnie uderza, to cechy zewnętrzne, optyczne, a więc korona, berło i t. d. Wyobrażam sobie w fantazji, że musi być jakaś wielka, pełna różnych sprzętów rekwizytornia, w której sprawuje rządy Historja. Ta ostatnia to jakaś starsza garderobiana, która w miarę potrzeby przygotowuje takie czy inne rekwizyta, oczyszcza różne mundury, przesypuje naftaliną, aby się nie zarkadły mole, odprasowuje płaszcze królewskie i togi, w które ten czy ów mąż stanu zamierza się udrapować. Przyjrzyjmy się więc tym koronom, które Historja wkrótce może wydobędzie z szafy i tym, które już z niej wyjęła.

Od niepamiętnych czasów każde nakrycie głowy człowieka uważane było za jego symbol. Zdejmowanie kapelusza na znak uszanowania jest pozostałością tego poglądu. Nakrycie głowy faraona egipskiego było jego koroną, o koronach też czytamy w Starym Testamencie. Właściwem źródłem jednak późniejszych symbolów władzy, jest wieniec rzymski, którym odznaczano zwycięskiego wodza, gdy wracał z wojny do domu. Wieniec taki, spleciony z liści dębowych lub laurowych, wkładali na skronie również cesarze, a Juljusz Cezar, nieraz wyobrażony jest z takim wieńcem. Pierwsze i najstarsze też korony przypominały nieco wieniec, o tyle, że były to djademy okrągłe, ozdobione nieraz płaskorzeźbami, kamieniami, liśćmi i t. d. Taką jest np. korona langobardzka, zwana „żelazną", pochodząca zapewne z IX. w., znajdująca się obecnie w katedrze w Monzie, takiemi też koronami-djademami przystrajali swe skronie nasi królowie z dynastji Piastów. Najbardziej znaną koroną średniowiecza polskiego to korona Kazimierza Wielkiego, której kopja widoczna jest po dziś dzień w skarbcu Wawelskim. Koron



Największym walorem artystycznym koron piastowskich, a zwłaszcza korony Kazimierza Wielkiego był piękny ich rysunek.

tych monarchowie średniowieczni mieli kilka i nie wytworzył się wtedy żaden charakterystyczny dla każdego kraju typ korony. Jedynie korona Karola W., a która pochodzi zapewne z wieku XI., stanowi wyjątek. Służyła ona do koronacji cesarzów rzymskich, a składa się z ośmiu płytek złotych, bogato wysadzanych kamieniami i ozdobionych scenami w płaskorzeźbie. Złoty mostek łączy krzyż, znajdujący się nad koroną z jednym z boków jej. Nad wyraz piękną była również francuska korona królewska, która do czasów Henryka II., tj. do XVI. wieku była otwarta, przedstawiając się jako djadem o ośmiu liljach burbońskich, a dopiero potem przybrała postać zamkniętej korony, tj. dodano osiem mostków, schodzących się w jednym punkcie zakończonym również lilją. Napoleon I. polecił jubilerom paryskim stworzyć nową koronę, którą ukoronował się w r. 1804. Przedstawia ona cztery mostki naprzemian z czterema orłami cesarskimi i zakończona jest krzyżem. Do najstarszych koron monarszych należy również korona św. Stefana węgierska, która jest symbolem państwa węgierskiego. Pochodzi ona z XI. w. i przechowywana jest z czcią w zamku w Budzie.

Zależnie od wypadków politycznych korony nowe przybywają lub stare przenoszą się z głów koronowanych do... muzeum czy skarbca. Gdy w r. 1701 kurfirst brandenburski ukoronował się w Królewcu na króla, nowa korona została symbolem Prus. Korona cesarska niemiecka, sporządzona w r. 1871, jest niejako parafrazą dawnej cesarskiej korony Karola W. Do nowszych koron należy również cesarska korona rosyjska, zrobiona dla Katarzyny W. Posiada 5 tysięcy niebywale cennych brylantów, które razem ważą 280 karatów. Na szczycie korony znajduje się rubin 400-karatowy. — Dawna korona carów Moskwy była podobna do wysokiej czapki i nosiła nazwę „czapki Monomacha". Znajduje się ona obecnie w muzeum kremlińskiem. Również i obecna korona królewska Wielkiej Brytanji, jest nowszego pochodzenia. Gdy w roku 1806 zwycięstwa Napoleona pozbawiły cesarza Franciszka II panowania nad św. Cesarstwem Rzymskiem narodu niemieckiego, korona wykonana w r. 1602 przez jubilerów augsburskich stała się odtąd cesarską koroną austrjacką, w której perły są głównym ornamentem.

Jeżeli przejdziemy pamięcią dawne „wycofane z obiegu" korony, to zwrócić musimy uwagę na oryginalną, bo składającą się ze śpiczastych pałek, wielkoksiążęcą koronę toskańską, oraz na koronę-czapkę dożów weneckich. Wspaniałą jest korona królewska Bawarji, zamówiona przez obłąkanego króla Ludwika II, a złożona w olbrzymiej szafie-pudle z szyldkretu, w pałacu królewskim w Chiemsee.

Jeżeli chodzi o królewskie korony polskie, to niestety, podział kraju i kataklizmy polityczne pozbawiły nas tych cennych pamiątek, chociaż istniało kilka koron. Jedną z nich nosił Zygmunt III Waza, inną znów Jan III, jeszcze inną wkońcu Stanisław August. Po abdykacji w r. 1795 król zabrał tę koronę ze sobą do Grodna, a następnie do Petersburga, skąd nie wróciła.

Najbliższe czasy pokażą, czy w Europie przeważać będzie cylinder prezydencki ii czapka frygijska, czy też korona królewska i zależnie od tego rekwizytornia dziejów dostarczy jednego lub drugiego.

J. Godziemba.

Korona św. Stefana jest nadwyraz ciekawym i artystycznym zabytkiem roboty złotniczej, posiadając minjatury z emalji i złota.



Cesarska korona rosyjska olśniewa przedewszystkiem wspaniałemi okazami drogich kamieni, których wartość jest olbrzymia.



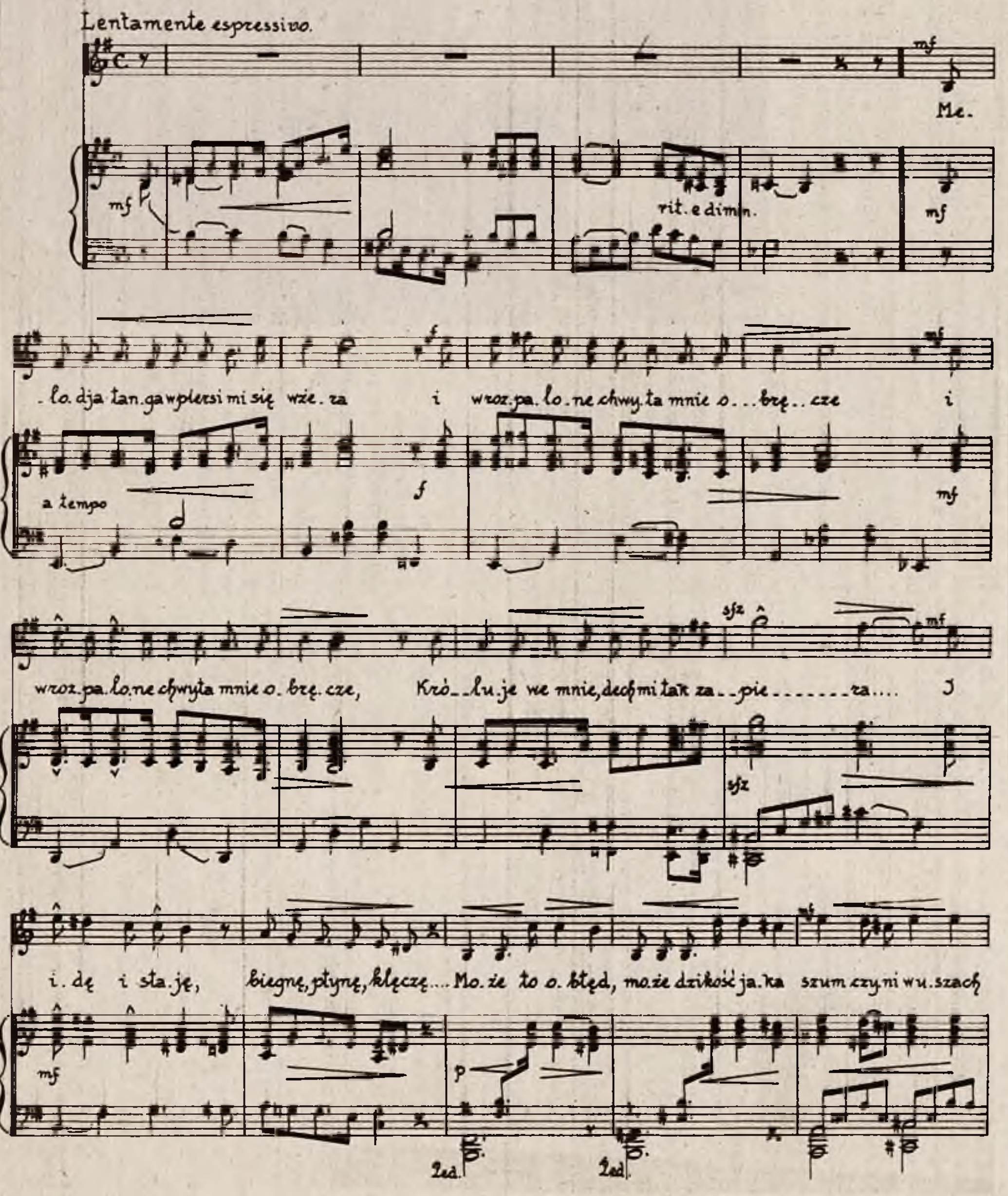
Austrjacka korona posiada charakterystyczny rysunek i jest jednym z najcenniejszych dzieł sztuki jubilerskiej XVII wieku.

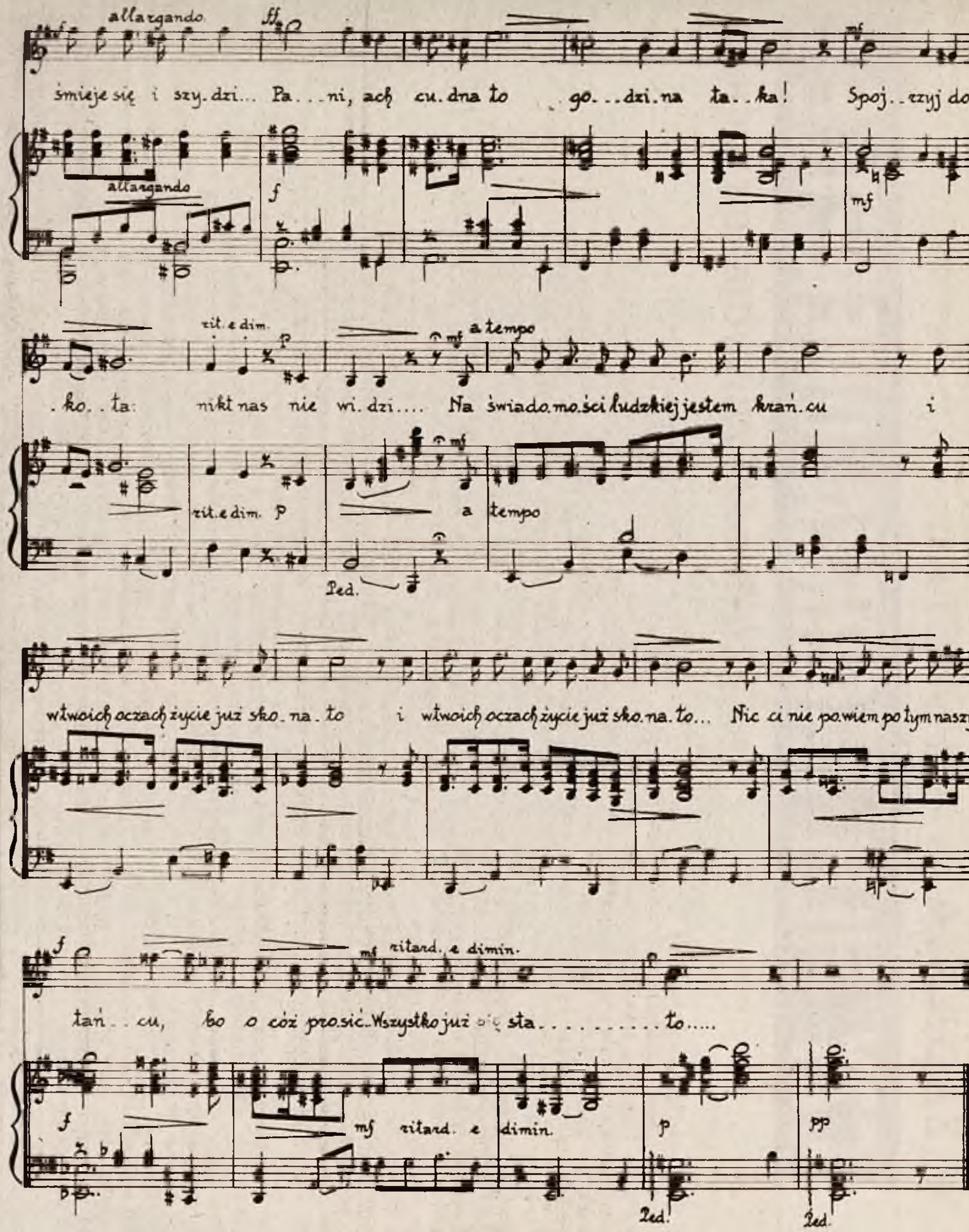


CZAR TANGA

PIOSENKA

SŁOWA: K. CWIERKA - MUZYKA: STANISŁAW IGN. RĄCZKA





CELE ★ I ★ ZADANIA ★ OPERETKI.

CZY FILM ZAGRAŻA OPERETCE?

NAPISAŁ FRANCISZEK LEHÀR.

Któż może być miarodajniejszy w roli Augura na temat przyszłości operetki, której renesans przeżywa cała Europa, jeżeli nie król kompozytorów operetkowych, sławny Lehàr? Podajemy zatem garść jego uwag, które, jak sądzimy, zainteresują miłośników lekkiej, melodyjnej muzyki.

— Mam zawyrokować o przyszłości operetki? — rzekł Franciszek Lehàr z miłym uśmiechem, siedząc w swym gabinecie, w którym stale pracuje. Mieszkanie kompozytora urządzone jest z artystycznym smakiem, a każdy szczegół przypomina inny jego sukces. Na ścianach wiszą srebrne i złote wieńce laurowe oraz fotografje odtwórców ról tytułowych operetek Lehàra z tchnącemi wdzięcznością dedykacjami. Na uwagę zasługuje oryginalny zbiór pałeczek do dyrygowania ze srebra lub kości słoniowej.

Mimo, że atmosfera przesycona jest triumfami Lehàra, on sam nie zatracił skromności i bezpośredniości prawdziwie kulturalnego człowieka. Ani śladu pozy, tak często spotykanej u wybitnych dyrygentów, ani cienia wyższości.

— Cóż mogę powiedzieć o przyszłości operetki? — zapytuje jeszcze raz wielki kompozytor. Widocznie ma jednak dużo do powiedzenia, gdyż wkrótce sypią się myśli jedna za drugą, a ogarniający Lehàra zapał świadczy o tem, jak go ten temat emocjonuje.

— Nie jestem zwolennikiem zaglądania w przyszłość ewolucji muzyki. Że mam rację, świadczy o tem zupełne przekształcenie pojęć w tej dziedzinie. Co dawniej uważano za marną nicość, dziś jest wielbione, a co niegdyś uwieńczone było najwspanialszym sukcesem, dzisiaj zbladło i spoczywa pod pyłem niepamięci. Smak arystyczny ludzi zmienia się jak oblicze. Zwłaszcza w dziedzinie muzyki zauważyć można zmienność słuchowego reagowania na dźwięki.

To jedno przewidzieć mogę z całą pewnością: operetka pozostanie nieśmiertelna jako skarbnica melodyj, które słuchacz tak chętnie zabiera z teatru „do domu". W przeciwstawieniu do opery i filmu musi operetka walczyć o swą artystyczną wytyczną i indywidualność. Niegdyś wielka opera była cyklem pięknych, harmonijnych melodyj, które łączyły się ze sobą w jedną artystyczną całość, jak klejnoty, nanizane na nitkę. Lecz od czasu wystąpienia Ryszarda Wagnera forytuje opera przedewszystkiem dramatyczność wyrazu muzyki, usuwając w cień melodyjność. Co pewien czas zjawia się jeszcze kompozytor, jak Ryszard Strauss lub Puccini, który na pierwszym planie dba o melodyjność muzyki operowej. Lecz kierunek ten ponosi klęskę, może nawet z korzyścią dla wielkiej opery, a zwłaszcza dla muzyki bez tekstu, dla symfonji i innych kategoryj utworów muzycznych.

Wprawdzie rosyjscy folkloryści wracają jeszcze do systemu forytowania melodyj i jak dawniej poeci romantyczni, poszukują jej u źródeł, wśród ludu, a to samo czynią tak twórcze talenty, jak kompozytorzy węgierscy Bartok i Kodàly, lecz należy pogodzić się z tym faktem, że dramatyczność opery, podkreślenie tekstu przez symfonję i instrumentację, a nie przez melodję, zwycięża w operze na całej linji.

To też operetka przyszłości będzie stanowiła przytułek i schronienie dla melodyj, których tak bardzo jest spragnione ucho melomana. Jak silnie odpowiada melodyjność operetki ogółowi słuchaczy, świadczy o tem szybkie spopularyzowanie aryj kompozytorów operetkowych wśród tłumu. I ja jestem zwolennikiem podkreślenia melodji w utworze muzycznym, a w celu zdobycia nowego splotu tonów jeździłem do wszystkich krajów dawnej monarchji austrjacko-węgierskiej, aby poznać ducha i charakter pieśni ludowej.

Niektórzy twierdzą, że film dźwiękowy przyniesie upadek operetki. Jest to mojem zdaniem nonsens. To zupełnie taksamo, jakby ktoś utrzymywał, że informacje radjowe zabiją dziennikarstwo, albo, że sztuki filmowe utrącą teatr. Jest to zupełnie inna dziedzina twórczości artystycznej. Operetka na scenie i operetka filmowa mogą istnieć obok siebie, bynajmniej ze sobą nie kolidując! Im bardziej staje się operetka ostoją melodji i następczynią dawnej, wyłącznie melodyjnej opery, tembardziej wzrasta jej wartość artystyczna, a inteligentny tekst musi dostosować się do poziomu muzyki. Natomiast film dźwiękowy opiera się o różnolitość i różnorodność obrazów i staje się raczej groteską, przeplataną kilkoma przebojowemi melodjami, upiększoną fantastyczną rewją. Efekty wzrokowe muszą w operetce filmowej przeważyć efekty akcji i melodji.

Jest rzeczą pewną, że ów lekki, bezpretensjonalny styl operetki, jaką widywaliśmy na scenach przed kilku laty, zbiór nonsensów jako dodatek do numerów tanecznych i kilku niewybrednych melodyj, zniknie zupełnie. Natomiast operetka prawdziwie wartościowa, a raczej komedja muzyczna, „mała opera", jak nazywano tego rodzaju utwory muzyczne za czasów Offenbacha, pozostanie nieśmiertelna i będzie miała coraz więcej zwolenników. Już dzisiaj teatr królewski w Budapeszcie przerzucił się z repertuaru komedjowego do repertuaru dawnych operetek, jak „Piękna Helena", „Noc w Wenecji", „Nietoperz", „Orfeusz w piekle", oraz do operetek Kalmana, moich i innych. Tak stało się również w Wiedniu, w Berlinie, w Paryżu, częściowo w Warszawie i t. d.

Lekka operetka i rewja muzyczna musiały ustąpić na rzecz operetkowego filmu dźwiękowego już choćby z tego względu, że we filmie ujrzeć można większe urozmaicenie krajobrazu, samochód, samolot, parowiec transoceaniczny, pociąg pospieszny, wszystko w naturalnej wielkości, wszystko w ruchu. Gdy ten kalejdoskop widoków urozmaici jeszcze skoczna melodja, estetycznie pomyślany taniec pojedyńczy lub zbiorowy, to cóż dziwnego, że ogół woli za tanie pieniądze korzystać z tych barwnych wrażeń, aniżeli siedzieć przez kilka godzin na nudnej i mało urozmaiconej rewji. Lecz wartościowa pod względem muzyki i libretta operetka będzie się rozwijała po tej linji, jako skarbnica wartościowych melodyj, których nie wyrzeknie się tak łatwo ogół melomanów.

Tłóm. mb.

Słynny kompozytor operetek Franciszek Lehàr został dwa lata temu odznaczony komandorją orderu Legji Honorowej. Na zdjęciu chwila wręczania orderu przez znaną artystkę operetkową Georgette Simon, w gmachu teatru „Gaité Lyrique".





AZUR I SREBRO. Podobnie jak prawdziwy ptak, który w locie muska wodę, samolot-hydroplan „Le Lieutenant de Vaisseau Paris“ — opadając na wodę pruje ją srebrnemi śladami.

NOWOCZESNA »AKADEMJA SMORGOŃSKA«

Nieraz w starych pamiętnikach napotykamy wzmiankę o „Akademji" w Smorgoniach, gdzie kształcono niedźwiedzie.

Dziś mamy również oryginalną szkołę dla zwierząt, dostosowaną do wymagań chwili, a mianowicie „Psią Akademję" w Rawie Ruskiej, gdzie kształci się psy do służby wywiadowczej dla naszej Straży Granicznej.

Przyjrzyjmy się tej Akademji, będącej jedyną swego rodzaju w Polsce. Kompleks czystych i zgrabnych pawilonów, porządnie utrzymane placyki, żelazne sztachety i warta przy bramie. To szkoła Straży Granicznej, również jedyna w Polsce.

Ewenementem istotnym jest dopiero hodowla psów przeznaczonych do służby i pomocy tej właśnie Straży.

Prowadzą nas za miasto na tak zwane „Wołkowice". Po drodze przewodnik nasz opowiada nam historyjki „graniczne".

Wkońcu dochodzimy do Wołkowic. Kilka miniaturowych pawiloników, plac z jakiemiś dziwacznemi narzędziami przypominającemi maszyny oblężnicze z czasów Archimedesa, a wokoło zieleniące się pole. Akademja psów — oficjalnie — siedmiomiesięczny kurs psów Straży Granicznej.

Jest ich w tej chwili 29. Przeważnie wilczury, z tych największych, posiadające długi i lśniący włos, szeroką niezwykle i silną pierś, oraz wściekle dzikie i zażarte oczy. Jak nas informują, używa się tutaj i psów owczarskich. Najchętniej jednak tych właśnie, wilczurów.

Część psich wychowanków kursu mamy właśnie przed sobą rozrzuconych na tym dziwnemi przyrządami pokrytym placu. Każdy z nich ma przy sobie jednego strażnika i każdy z nich jest zosobna „kształcony". Dopiero teraz przekonujemy się, ż owe rzekome machiny oblężnicze są tylko prowizorycznemi przyrządami gimnastycznemi dla psów. Są to więc prostopadłe niemal drabiny, po których mozolnie człapią kudłate wilczury, zagrzewane okrzykami swoich przewodników. Są dość wysokie płotki, o które dziś obijają się biedne psie łapy w daremnych próbach skoku, dopóki, gdzieś za jakimś setnym razem nie uda im się przeszkody przeskoczyć. Tam znowu ćwiczą psy w „aportach", to jest w podawaniu przewodnikowi schwytanych czy znalezionych przedmiotów. Wszyscy uczniowie noszą na szyjach obroże, zaopatrzone w mocne linki. Widzę kilka zwierząt, noszących obrożę inaczej niż inne — kolcami do środka. To „oporni" i „przestępcy", których regulamin w ten tylko sposób pozwala karać.

Bo tutejsza tresura nie uprawia i nie uznaje bicia zwierząt. Tłumaczy to nam komendant kursu:

— Służba psa strażniczego jest do tego stopnia ciężka i ważna, że nie można jej opierać na uczuciu strachu wobec swojego przewodnika. Pies musi być przywiązany i kochać tego, któremu służy.

Dopiero tutaj uświadamiam sobie, że tresura psów jest tu czysto indywidualna. Każdy strażnik przychodzący na kurs otrzymuje sześciomiesięcznego szczeniaka zupełnie jeszcze surowego i w ciągu siedmiu miesięcy osobiście go doszkoli. Pies ma tylko jednego pana, nauczyciela i rozkazodawcę, tylko jego jednego rozumie i jemu jest tylko posłuszny. Razem idą potem na graniczny posterunek.



Jedno z ćwiczeń przyszłego wywiadowcy polega na chodzeniu po schodach



Pole ćwiczeń, na którem wilczury przechodzą kurs „dokształcający".

— Ile lat pełni taki pies służbę? — pytam.

— Dziesięć lat conajmniej — odpowiadają mi. W czasie tych dziesięciu lat bywa nieraz kilka razy postrzelony, pobity, a nawet ciężko ranny.

— A co się z psami dzieje po tych dziesięciu latach?

— Zazwyczaj strażnik, który dziesięć lat pełni służbę wespół ze swoim czworonogim towarzyszem przywiązuje się do niego naprawdę serdecznie i po przejściu psa na „emeryturę" zatrzymuje go jako własność prywatną i tak pies dożywa swoich lat. W każdym razie pies ma zawsze zapewnioną starość...

Nie dziwię się tej pieczołowitości, gdy słyszę opowiadania o ogromnych usługach, jakie psy na granicy oddają. Pełnią one podwójną służbę: pomocniczą i śledczą. Są to zwierzęta — jak powiedzieliśmy — silne i dzikie. Taki pies dopędza człowieka uciekającego, rzuca mu się do gardła, powala na ziemię i nie pozwala mu się ruszyć, nie tykając go zresztą, dopóki nie nadbiegnie strażnik. Nie dość na tem. Pies posiada nietylko siłę, którą i człowiek może stworzyć, lecz i węch poprostu niezastąpiony. Wystarczy, żeby powąchał jakiś przedmiot z otoczenia przemytnika, a już bez najmniejszej trudności trafia do jego kryjówki. W biurze komendanta kursu miałem sposobność przeglądnięcia paru meldunków, mówiących o zachowaniu się psa w poszczególnych momentach pełnienia służby przez strażnika.

Niemniej interesujący niż „szkoła", jest również psi „internat".

A więc cały rząd „pokoików" — zastrzegam się — nie bud. Budy są swoją drogą, miękko wymoszczone i ciepłe, ale tylko jako legowisko. Z tej budy obszerny otwór wychodzi na przestronny pokoik, zamiast jednej ściany posiadający drucianą siatkę. Ten pokoik jest właściwem mieszkaniem psa, który dostaje na stałe, jako miejsce do rozbiegu i przebywania w dzień poza ćwiczeniami. Zarówno buda jak i pokoik są skanalizowane i niebywale czyste.

Stąd przechodzimy już do kuchni. Zapach roznosi się stamtąd naprawdę i dla ludzkiego nawet nosa — apetyczny. Biało ubrana kucharka — obok swojego posterunku, pieca kuchennego. Zbieramy informacje: co psy jedzą i nie chcemy poprostu wierzyć, kiedy dowiadujemy się, że te olbrzymie wilczury otrzymują codziennie rano mleko... A w południe znów omaszczoną kaszę i mięso gotowane. Nie jakieś flaki, czy odpadki rzeźnickie, ale autentyczne mięso drugiego gatunku... A na kolację otrzymują jakieś odpowiednio omaszczone ziemniaki i czasem surowe, spreparowane mięso. Co tydzień wizyta weterynarza, co tydzień kąpiel.

Tak wygląda „psia akademja" jedyna w Polsce! M. F.



Młody wilczek głęboko się zastanawia nad słowami, które właśnie usłyszał.

KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. 23 Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— Nie widzę dotychczas nic, coby wskazywało na to, że dom nasz jest otoczony — rzekł pod nosem porucznik Simonitz, wyglądając przez okno.

— Potrzebaby na to całego pułku — odparł pułkownik, jakgdyby sam siebie chciał przekonać.

— W Anglji takie rzeczy są wręcz niemożliwe — zauważył porucznik.

— Czy pan nic nie widzi?

— Nic oprócz nieba i piasku! — brzmiała odpowiedź Simonitza.

— Bluff! Mówiłem przecież, że w całej tej historji niema ani słowa prawdy — wykrzyknął z zadowoleniem Sass.

Obaj mężczyźni powoli znowu dochodzili do równowagi.

— ...A gdyby pan pułkownik zechciał zwrócić uwagę na naszego jeńca, który jak się zdaje, uważa swój pobyt tutaj za zupełnie miły, wyjdę na dwór i zorjentuję się w sytuacji — rzekł Simonitz.

Mówiąc te słowa, porucznik Simonitz przybrał postawę wielce bohaterską.

— Aby poprostu popatrzeć co słychać naokoło, nieprawdaż? — Owszem, niech pan idzie! — potwierdził pułkownik.

Sass był bardzo zadowolony z projektu swego podwładnego, gdyż czuł się znacznie pewniejszy z rewolwerem w ręku, siedząc naprzeciwko więźnia, niż chodząc po ławicach piasku, pustych, a jednak groźnych. Gwałtowny wiatr nie był również miły i dodawał temu krajobrazowi dużo ponurości.

— Pozostawię drzwi wejściowe otwarte — dodał Simonitz po chwili..

— Słusznie — brzmiała odpowiedź.

Rozmowa obu wojskowych przeszła powoli w cichy szept, gdyż odnosili wrażenie, że coś nieznanego, choć niemniej groźnego czai się na nich w okolicy domu. Mimo to Simonitz zdawał się być zupełnie spokojnym, a ton jego słów przypominał raport wojskowy. Przyglądając się obu Korawiańczykom i przysłuchując się rozmowie, Artur poczuł dla nich ironiczne współczucie.

Simonitz wyszedł z domu. Krokom jego, dającym się słyszeć z zewnątrz, towarzyszyły głosy dochodzące z radja. Gdzieś, w Londynie jeden z muzykantów stroił swoje skrzypce, siedząc w jakimś barze, czy dancingu.

— Nikogo niema naokoło, pułkowniku! Ani żywej duszy...

Głos powracającego Simonitza naraz załamał się gwałtownie, słychać było hałas upadającego jakiegoś przedmiotu i jeden z obrazów, wiszący w przedpokoju, zleciał z trzaskiem na ziemię. W kilka sekund później do pokoju wpadł zataczając się Simonitz. Twarz jego blada była jak chusta, a oczy miały wyraz wielkiego przerażenia.

— Strzelali... — wykrztusił.

— Czy pana trafili? — pytał przerażony pułkownik.

— Na szczęście nie...

— To zamknij drzwi i siadaj.

Jedynie silna dyscyplina spowodowała przerażonego Simonitza do zamknięcia drzwi, przez które mogła wpaść do wnętrza mordercza kula. Zachowując wszelkie środki ostrożności, wykonał rozkaz i wrócił do pokoju. Pułkownik nadsłuchiwał tymczasem z napięciem.

Nie przeszło kilka minut, gdy szkło szyby rozprysło się na wszystkie strony, a głuchy trzask dał się słyszeć w okolicy domu. Jakaś kula rozbiła szybę i, sądząc po miejscu, w którem utkwiła w ścianie, tylko kilku centymetrów brakowało, aby trafiła pułkownika. Sass zbladł i począł się rozglądać przerażony.

— Te psy umieją działać! — wykrzyknął głosem, wyrażającym przerażenie, ale też podziw dla swych nieprzyjaciół.

— Czyż nie mówili, że rozpoczęli swój przewrót? — dodał Simonitz.

— I to się dzieje w Anglji! — ubolewał Sass.

Mechanicznie wzrok przeniósł się na więźnia, który dotychczas leżał spokojnie i z wyrazem zupełnej obojętności na swojem improwizowanem posłaniu. Na zaniepokojone, ale też pełne nienawiści spojrzenie pułkownika, odpowiedział ironicznym uśmiechem.

— Musimy się zabarykadować i walczyć do ostatniego tchu! — rozkazał pułkownik. — Pamiętaj, Simonitz, jesteśmy żołnierzami, a cała republika patrzy na nas.

— ...Następnym utworem, który zagra orkiestra w teatrze „Commodere", jest walc pt.: „Kaprys"... — doleciał obcnych głos ze skrzynki radjowej.

Porucznik Simonitz zajął się wyrywaniem belki, tworzącej próg przedpokoju, celem zatarasowania wejścia.

— Skoro nadejdzie szósta godzina, czy pan, pułkowniku, odda księcia Sergjusza tym ludziom, którzy nas otoczyli?

Zapytany, siedząc z rewolwerem w ręku, pokiwał przecząco głową.

— O szóstej godzinie zastrzelę go bez pardonu! — rzekł groźnie.

Podczas tych przygotowań do odparcia ataku muzyka taneczna rozlegała się po całym domu. Wraz ze wzrastającem napięciem sytuacji i Artur zaczął poważnie zastanawiać się nad zmianą swego położenia. Myśli jego wybiegły przedewszystkiem do Heleny. Przypomniał sobie pobyt z nią w wykwintnem otoczeniu hotelu „Bandon". Ze wzruszeniem wyczarowywał w pamięci jej obraz, tak pełen uroku, taki mu drogi! Widział jej szare oczy i uśmiechnięte usta.

Książę Korawji wstał wkońcu ze swego posłania. Oczy pułkownika podążały za nim, śledząc każdy ruch. Lecz jeniec w dalszym ciągu uśmiechał się uprzejmie do niego.

— Skoro wy się tutaj barykadujecie, pomogę wam przyrządzić podwieczorek, gdyż jestem naprawdę głodny. — Przystąpił do stołu i zaczął go nakrywać.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Niespodziewana wizyta.

— Czy on tam jeszcze jest? — zapytał płk. Sass.

Por. Simonitz opierając się wygodnie o ścianę, śledził przez lornetkę krajobraz rozpościerający się przed domem.

— Tak, jeszcze tam stoi, pułkowniku. Jest to wysoki mężczyzna, trzymający karabin pod pachą. Robi wrażenie człowieka polującego na dzikie kaczki. Niestety stoi on na pagórku, z którego ma dokładny widok na całą okolicę i na nasz dom.

Pułkownik odpowiedział przekleństwem.

— Ci głupi mieszkańcy wsi przypuszczają pewno, że on naprawdę poluje na kaczki!

— Tak, tem więcej, że kilkakrotnie do nich strzelał.



...trzymając w ręku rewolwer, Simonitz zbliżył się do drzwi...

— A czy trafiał?

— Tak, za każdym razem padała jedna, trafiona celnym strzałem.

— A gdy nie strzela do kaczek, może bardzo łatwo w nas właśnie trafić. Gdybyśmy tylko mieli odpowiednią broń, to byśmy go nauczyli rezonu, ale tak... — dodał w zamyśleniu pułkownik.

— Tak, strzały rewolwerowe są tutaj beznadziejne — ciągnął dalej swoje uwagi por. Simonitz, obserwując okolicę przez swoją lunetę.

Artur, siedząc wygodnie w fotelu i paląc papierosa, przypatrywał się im z zainteresowaniem.

— Jaka szkoda, pułkowniku, że pan nie pomyślał o artylerji, skoro pan rozpoczynał tę całą awanturę!

Pułkownik obrzucił go zimnem i wściekłem spojrzeniem.

— Chciałem Waszą Wysokość prosić, aby zechciała się liczyć ze słowami. Życie pańskie może się gwałtownie skończyć w następnych dwóch godzinach.

Artur wzruszył ramionami.

— Mogę tylko wyrazić wielką admirację dla waszej służbistości, pułkowniku. Nawet król nie mógłby wymagać większego oddania od swoich żołnierzy.

— Jesteśmy żołnierzami republiki — odparł pułkownik — i musimy spełnić obowiązek wobec dyktatora Jana Nerudy, a nie wobec jakiegoś tam pretendenta.

Chesham uśmiechnął się tylko z politowaniem, słysząc słowa swego „gospodarza"... i sięgnął po nowego papierosa.

— Są wyśmienite! Niech pan sobie weźmie, pułkowniku i zapali. To bardzo dobrze działa na nerwy.

Lecz pułkownik zignorował jego słowa. Wieczór powoli zapadał w domu i na płaskiem, piaszczystem wybrzeżu. Jak to bywa nad morzem, każda chwila przynosiła znaczne pociemnienie horyzontu, tak, że wkrótce trudno już było rozróżnić kontury przedmiotów i osób.

W dalszym ciągu radjo nadawało swój program. Obecnie orkiestra stacji radjowej zaczęła grać jakieś cygańskie pieśni. Chesham słuchał spokojnie produkcyj muzycznych, myślą jednak wybiegł poza miejsce swego pobytu, zastanawiając się nad możliwością ucieczki i nad tem, kim właściwie może być ten człowiek, chodzący w okolicy domu. Czyżby Marek Mann posłał kogoś na jego odsiecz?

W pewnej chwili trzy uderzenia zegara, które dochodziły ze skrzynki radjowej, oznajmiły obecnym, że jest godzina 4-ta minut 45. Obaj Korawiańczycy sprawdzili natychmiast godzinę na swoich zegarkach, noszonych na ręku. Chesham odgadywał ich myśli: przecież według zapowiedzi nieznanego rozmówcy w telefonie — o godzinie szóstej książę Sergjusz Łobanow miał opuścić bez straży i zupełnie dobrowolnie willę nadmorską. O tymże jednak samym czasie Korawiańczycy zamierzali pozbawić go życia. Wyobrażał sobie, jak nerwowym ruchem ręka pułkownika musiała zaciskać się naokoło rewolweru, który trzymał w pogotowiu.

— Mam nadzieję, że zaoszczędzimy sobie dziecinnych rozmówek — rzekł Artur, postępując ku skrzynce radjowej. Gdy będziecie mieli mnie zastrzelić o szóstej godzinie, mojem jedynem życzeniem jest, aby pańska ręka nie drżała, trzymając rewolwer.

Mówiąc te słowa, zapalił zapałkę.

Simonitz widząc zupełnie spokojną postawę księcia Korawji, nie mógł się obronić przed uczuciem szczerego podziwu.

— Co za spokój! — rzekł po korawiańsku do pułkownika.

— Wszyscy desperaci posiadają go! — odparł Sass lekceważącym tonem.

Tymczasem coraz gęstsze chmury zakrywały niebo i ciemność stawała się coraz wyraźniejsza. Chociaż obaj Korawiańczycy zamierzali zapalić lampę, to jednak wstrzymali się od oświetlenia pokoju, gdyż przedstawiało to pewne niebezpieczeństwo. Oświetlony pokój stawał się świetnym celem dla nieprzyjaciół, kręcących się w okolicy domu, z drugiej jednak strony ciemność mogła ułatwić księciu nie tylko ewentualną ucieczkę, ale również zaatakowanie obu oficerów. Trudno było się zdecydować. Po dłuższych naradach oświadczył wkońcu pułkownik:

— No trudno, zaryzykujemy. Niech pan zapali lampę. Niechaj to będzie znakiem dla naszych nieprzyjaciół, że się ich nie boimy.

Simonitz wkrótce przyniósł lampę starego typu, podkręcił nieco i przyciął knot, zapalił go, a następnie nałożył klosz. Wkrótce żółte światło padło na stół, rozeszło się po pokoju, tworząc miłą atmosferę, która przypominała dobrze zagospodarowany dom prywatny.

— Przy tem świetle człowiek lepiej się czuje, nieprawdaż pułkowniku? — pytał z zadowolonym uśmiechem Simonitz.

— Oczywiście, że tak jest lepiej — przytaknął zapytany.

— Czy mogę pana pułkownika prosić o podanie mi dokładnego czasu? — zwrócił się Chesham, z uprzejmym, ale również nieco ironicznym tonem do Sassa. — Człowiek w moim położeniu musi być dobrze poinformowany.

— Jest punktualnie godzina piąta — rzekł pułkownik patrząc na zegarek. Za godzinę...

Przerwał nagle, gdyż dosłyszał silne pukanie do drzwi frontowych. Wszyscy trzej zaparli oddech w piersiach, oczekując dalszych wydarzeń. Zupełna cisza zapanowała w pokoju.

Po chwili pukanie się powtórzyło. Zdawało się, że jakaś potężna ręka wstrząsa całą willą, rzuconą jak łupina orzecha na olbrzymich piaskach nadbrzeżnych.

— Kto to może być? — zapytał szeptem porucznik.

— Nieprzyjaciel, bezwątpienia — objaśnił go pułkownik. Widzi pan kogoś przez okno?

Z niebywałą ostrożnością Simonitz podkradł się pod rozbitą kulą szybę i wyjrzał na dwór. Nie zdołał jeszcze jednak się rozejrzeć, gdy dał się słyszeć miły głos.

Trzymając w ręku rewolwer por. Simonitz zbliżył się do drzwi. Zanim je jednak otworzył, musiał usunąć ciężką belkę, którą poprzednio starał się zabarykadować dom. Wkońcu dało się słyszeć otwieranie drzwi i w tejże samej chwili pułkownik, wstawszy ze swego krzesła ujął w rękę duży rewolwer wojskowy. Z twarzą napół poważną, a napół przestraszoną oczekiwał dalszego rozwoju wypadków. Ale też i Artur zdawał sobie sprawę z tego, że najbliższe kilka chwil zadecyduje o życiu jego lub śmierci.

— Dobry wieczór przyjacielu — mówił nieznany głos. — Robi pan wrażenie nieco.... przestraszonego?

— Owszem, jesteśmy dosyć... ostrożni!

Drzwi się zawarły, a Simonitz w dalszym ciągu trzymał rękę na rewolwerze, chociaż stojący przed nim duchowny bynajmniej nie robił niebezpiecznego wrażenia. Zdjąwszy ze siebie płaszcz wszedł do pokoju, oświetlonego lampą naftową.

— Dobry wieczór panom — powitał obecnych uprzejmym uśmiechem.

Pułkownik Sass przysunąwszy do stołu krzesło, usiadł naprzeciwko Cheshama. Prawa jego ręka ściskała broń zwróconą w kierunku jeńca. Wchodzącego duchownego przywitał on przelotnem spojrzeniem.

Postać nowo przybyłego była naprawdę niecodzienna. Twarz miał młodą, jasne włosy, niebieskie oczy i bardzo często się śmiał hałaśliwie, nie mając zresztą po największej części żadnych po temu powodów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIĘKNO I WYGODA NASZYCH MIESZKAŃ

— Wchodząc do domu, pozostawiam za progiem wszelkie troski i sprawy zawodowe, aby nie zakłócać w nim atmosfery spokoju, wygody i radości życia.

Słuszną tę maksymę wypowiedział ktoś z moich przyjaciół, gdy mu stawiano pytanie, jakim sposobem potrafił stworzyć w swym domu prawdziwą oazę szczęścia rodzinnego. I nie był wcale Anglik, ani tem mniej Francuz. Bynajmniej, był to Polak z krwi i kości. A więc nie potrzebujemy szukać daleko przykładów, jak organizować sprawy domowe. Znajdziemy je naokoło nas, byle umieć patrzeć i odróżniać szczere ziarno od plew.

Ale by dom mógł mieć warunki na stworzenie środowiska dla kultywowania życia rodzinnego, należy go odpowiednio dostosować do potrzeb indywidualnych wszystkich zamieszkujących go osób, pod hasłem piękna i wygody.

Czy będzie to podnajęte mieszkanie w czynszowym domu, czy własna willa, czy wreszcie pałac o większej ilości pokoi, zasady ogólne będą te same, a przyświecać im winna przedewszystkiem celowość wszelkich urządzeń dla wygody domowników.

Budownictwo mieszkaniowe, nowocześnie pojęte, stawia sobie z góry te same zasady przy rozwiązywaniu problemów, dotyczących wnętrz domowych. I rzeczywiście domy czynszowe coraz bardziej odpowiadają potrzebom i wymaganiom o coraz to wyższym poziomie. Dobry rozkład mieszkań, wyposażenie ich we wszelkie wygody i urządzenia, mające za cel praktyczne rozwiązywanie codziennych problemów domowych, to zalety coraz częstsze nowoczesnych kamienic.

Do nowych wnętrz dostosowują się urządzenia. Ich główną zaletę stanowi mądra celowość każdego sprzętu, który ma służyć do codziennego użytku. Jej wykładnikiem są spokojne, proste linje, zaniechanie bezmyślnych ozdób, wykorzystanie potrzeb praktycznych zajmowanego miejsca a wreszcie dbałość o estetykę każdego szczegółu w tworzeniu modeli harmonijnie skomponowanych.



Uroczy kącik we wnęce pokoju, przeznaczony na odpoczynek, czytanie książek lub przyjacielską herbatkę. Dobrze wyzyskane miejsce na kanapkę i boczne szafki.



Sypialnia z kaukaskiego orzecha. Oryginalnie zestawione firanki przy podwójnym oknie. Niskie szafeczki i stoliki pozostawiają dużo powietrza w pokoju.

I trzeba przyznać, że w tej celowości sprzętów domowych dochodzimy do ciekawych rezultatów. Współczesne meble odznaczają się bowiem niezwykłą prostotą i przez tę prostotę właśnie stają się i użyteczne i piękne.

Oko nasze znajduje — rzec można — wytchnienie w spokojnych linjach nowoczesnych mebli.

Stosunek linji jest dla oka rzeczą niezwykłej wagi. Wiemy jak drażni nasze oko coś, co nie odpowiada harmonijnemu rozwiązaniu w głównych linjach danego przedmiotu. I on sam i potem w zestawieniu z innemi meblami, wywołuje przykre wrażenie niepokoju, nieskoordynowania linji, dla których oko nasze stawia swe wymagania.

Ale nietylko rysunek sprzętów stanowi o ich estetycznym wyglądzie. Ich gra barw, to drugie wielkie zagadnienie, od rozwiązania którego zawisły dodatnie cechy, jakich żądamy od pięknego umeblowania. Ton drzewa, jego politura, materjały, służące do pokrycia, wreszcie stosunek do malowidła ścian i koloru parkietów i dywanów, to dalsze szczegóły, nad któremi zastanawiamy się przy dobieraniu umeblowania.

Jeżeli jeszcze uwzględnimy przy ich ustawianiu, że nie mogą przeładowywać mieszkania, co utrudnia należyte jego odczyszczanie, że nie mogą zasłaniać światła i dostępu powietrza, bez których walory sympatycznego mieszkania spadłyby do zera, to mielibyśmy w ogólnych zarysach to wszystko, czego potrzeba, aby z każdego najskromniejszego nawet domu stworzyć miły „home", gdzie odrywając się od trosk pracy zawodowej, tworzy każdy swe małe królestwo, poświęcone życiu rodzinnemu i koniecznemu wypoczynkowi, wedle własnych upodobań spędzanemu.

Mewa.



Praktyczna szafa bibljoteczna, wypełniająca kąt pokoju przy oknie. Dobrze rozwiązana sprawa półek, zamykanych lub zasłanianych tylko szybami szklanemi, a także zupełnie otwartych.



Stół jadalny ustawiony w kącie przy oknie. Mahoniowy blat i metalowe nogi, równie jak i przy stołkach, wyścielanych skórą w jaśniejszym tonie. Firanki terrakota.



System niszowy w sypialni. Na prawo nisza z tapczanem, na lewo urządzenie tualety z szafeczkami w murze na drobiazgi tualetowe.

AS **Kupon konkursu na „Najpiękniejszy Uśmiech"**

Życie towarzyskie i artystyczne

Czego się nie robi dla mody!



Wśród zwarjowanych pomysłów Hollywoodu zasługuje bezwątpienia na palmę pierwszeństwa przyrząd, mający nadać wargom pożądaną linję. Ma on tę zaletę, że gadatliwe kobiety są w ten sposób zmuszone do milczenia. Na zdjęciu gwiazda ekranu Ida Lupino z oryginalnym przyrządem na ustach.

Ślub w angielskim high-lifie.



Ostatnio odbył się w cerkwi św. Filipa w Londynie „wielki" ślub p. Elżbiety Scott-Ellis, córki lorda Howarda de Walden z hr. Sergjuszem Orłow-Dawidow. Panna Howard należy do znanych postaci towarzystwa londyńskiego, a hr. Orłow-Dawidow jest jednym z emigrantów, którzy zdołali uratować swój majątek.

Gościnne występy Jaracza w Krakowie.



Ostatnio w teatrze Miejskim im. Słowackiego gościł słynny artysta scen stołecznych, Stefan Jaracz, występując z wielkiem powodzeniem w „Chorym z urojenia" Moliera, oraz „Panu Brotonneau". Kreacje Jaracza były, jak zwykle, pierwszorzędne.

Brochwiczówna jako „Wesoła wdówka".



W operetce warszawskiej na ul. Karowej wkrótce wystawiona będzie komedja muzyczna „Mała kawiarenka" Benatzky'ego, która stanowić będzie ostatnią premjerę w bieżącym sezonie. Sezon zimowy rozpocznie „Wesoła wdówka" z udziałem Brochwiczównej, Ruszkowskiego i Żabczyńskiego. Zastosowanie sceny obrotowej pozwoli wystawić piękną operetkę Lehara w 16-tu obrazach.

Córka Chamberlaina wyszła zamąż.

Przy udziale nadwyraz licznych gości z pośród towarzystwa angielskiego i sfer rządowych odbyła się ostatnio ceremonja ślubu p. Doroty Chamberlain, córki angielskiego kanclerza skarbu z p. S. Lloydem. Na zdjęciu widzimy młodą małżonkę, opuszczającą kościół w towarzystwie swego ojca. Panna młoda należy do najbardziej lubianych kobiet londyńskiego towarzystwa.



Clark Gable zdobywcą nagrody.

Ostatnio odbyło się w Nowym Jorku wręczenie nagrody Akademji Award znanemu aktorowi filmowemu Clark Gable'owi za ostatni jego film wytwórni „Columbia": „Zdarzyło się to pewnej nocy". Nagrodę wręczył słynny artysta filmowy Lionel Barrymore, którego widzimy na zdjęciu po lewej stronie obok Clarka Gable. Jako mistrz ceremonji całego przyjęcia występował sekretarz Akademji, mjr. Natan Levinson.



W POWŁÓCZYSTYCH SZATACH.



Suknia drapowana na wzór indyjskich „sari" z ciemno fiołkowej gazy jedwabnej, ujętej pasmami złotej lamy.

Już od wczesnej wiosny zaznacza się wybitny wpływ ubiorów wschodnich na tegoroczną modę. Egzotyzm triumfuje w całej pełni. Widzimy rozwój tej idei na dwóch działach strojów damskich. Suknie balowe i kostjumy kąpielowe. Wzorzyste „pareo" przywędrowało aż z Jawy, skąd zresztą nauczyła się Europa techniki batikowej znacznie wcześniej, bo po 1900 roku. Uzupełnieniem tego niezwykłego ubioru plażowego, do którego przyzwyczailiśmy się dość szybko, jest płaszcz czy też zasłona w formie chusty wzorzystej t. zw. „sarong". Że zmienił się on szybko w przeźroczystość celofanową, z pod której ukazują się wszystkie wdzięki kostjumu „pareo", to już specjalność paryskich krawców, którzy mają tę specyficzną zdolność wyszukiwania niezwykłych efektów tam, gdzie tylko mogą one mieć swoje ekscentryczne zastosowanie.

Ale przejdźmy do sali balowej, czy dancingowej. Na lądzie i na morzu...

Nie brak ich w tym sezonie, kiedy życie upływa zasadniczo pod dwoma flagami — wypoczynku i przyjemności, oczywiście dla tych, którzy wywczasy letnie przekładają nad zimowe i rozkoszują się obecnie pełnią swobody ludzi na urlopach.

Na tle wytwornej czerni świetnie skrojonych fraków, które są jakby synonimami współczesnych Europejczyków, ujrzymy zjawiska zupełnie nowe. Mogłoby się wydawać, że to daleki, tajemniczy wschód przysłał swe przedstawicielki dla wywołania kontrastu z nowoczesną kobietą naszego kontynentu...

Nie, tak nie jest. To właśnie przez zmienne kaprysy mody przemieniają się nasze panie, przybierając wschodnie szaty, w nowe zjawiska na tle zbanalizowanych salonów, hoteli i kawiarń. Cieniuteńkie zwoje pastelowych, matowych, jedwabnych gaz spływają w obfitych falach wokół wysmukłych postaci. To prawie oryginalny indyjski strój, bo nawet właściwy mu „ihram" zarzuca się na głowę wdzięcznym ruchem. Złota lub srebrna lama obrzeża suknię dołem i przy wykończeniu tuniki, tworząc śliczne obramowanie głowy przy zarzuconym szalu „ihram".

Ramiona ujęte w szerokie wschodnie bransolety. Na bosych nóżkach złote lub srebrne sandałki. Prawie nie można poznać w tem zjawisku pięknej nowoczesnej Ewy, wysportowanej i zahartowanej w życiu przy warsztacie pracy zawodowej lub też w innym kręgu obowiązków, jakie na nią wkłada właściwa pozycja życiowa.

Każda moda, każdy strój tworzy właściwe dla siebie ruchy i gestykulację. Przy powłóczystych szatach indyjskich nie można poruszać się stylem, przyjętym dla zwyczajnej sukni balowej. Powciągliwość i umiarkowanie muszą tu być bardziej przestrzegane niż w innych okolicznościach. Możność zarzucania szala na głowę, to znów odsłaniania włosów, stworzy poezję ruchów zupełnie nowych dla pięknej pani. A kto wie, czy nie posłuży do dyskretnej rozmowy, do których celów służył dawniej wachlarz lub kwiat...

Sprawiając sobie suknię balową o charakterze wschodnim musi piękna pani znaleźć czas na jej przestudjowanie przed lustrem, a dopiero potem wrażenie, jakie uczyni na otoczeniu będzie naprawdę olśniewające. A o to przedewszystkiem chodzi.

Juliette.

Oryginalna suknia wieczorowa z jedwabnej białej gazy. Płaszczyk przybrany pasmami lekkiej wełny w odcieniach czerwonawym i zielonawym



Wieczorowa suknia z jasno-zielonej georgetty. Podwójna tunika wykończona złotą lamą. Szerokie złote bransolety i sandałki dopełniają całości.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZIMNA ZUPA POMIDOROWA. 4 filiżanki rosołu wołowego ostudzonego i odtłuszczonego, zmięszać z 4 łyżkami masy pomidorowej i tyleż kwaśnej śmietany. Zupę podaje się w filiżankach dobrze zastudzoną.

OGÓRKI FASZEROWANE. Niezbyt duże obrane ogórki przekroić, wyżłobić i napełnić farszem, sporządzonym z mięsa wieprzowego, bułki i jajka. Złożone napowrót owiązuje się nitką, układa na maśle w rondelku i dusi pod pokrywą. Pod koniec podprawia się potrawę paru łyżkami śmietany, roztrzepanej z łyżeczką mąki i troszką siekanego koperku.

OMLETKI Z KALAFIOREM. 3 żółtka utrzeć z łyżeczką masła i małą bułeczką, poprzednio obtartą ze skórki i rozmoczoną w mleku. Kalafior ugotowany w słonej wodzie z kostką cukru, sieka się drobno, dodaje do utartej masy wraz z pianą z 3 białek i trzema łyżkami mąki. Z masy tej wysmaża się omlety, posypuje siekaną szynką, zwija i szybko podaje. Jako ściśle jarskie danie, można podać omlety bez szynki, z sosem śmietanowym lub beszamelowym.

KURCZĘTA Z MASZYNKI. Podzielone na ćwiartki większe kurczęta dusić na maśle przez pół godziny. Do maszynki (ryneczki hermetycznie zamykanej), wlać tłuszcz z pod kurcząt i włożyć drobno pokrajane jarzyny, jakie targ przynosi. Więc: dwie marchewki, garść fasolki szparagowej, pół główki włoskiej kapusty, dwie papryki zielone, parę pomidorków obciągniętych ze skórek, garść groszku zielonego i t. p., dwie kostki cukru, soli i białego pieprzu szczyptę. Podduszone kurczaki kładzie się na wierzch jarzyn, zamyka maszynkę i dodusza w własnym soku.

SZPARAGÓWKA W SOSIE KOPROWYM. Ugotowaną w słonej wodzie fasolę szparagową podaje się polaną następującym sosem: pół litra śmietany, 2 żółtka, sok z połówki małej cytryny, łyżkę mąki, szczyptę soli i cukru roztrzepać, następnie ubijać na parze aż zgęstnieje, poczem wsypać łyżkę siekanego kopru, nie gotując więcej. Jako dodatek: ryż lub krokiety z bułki. Potrawa ta podana na zimno może też stanowić dodatek do zimnych mięs białych, drobiu lub ryby.

BISZKOPT Z POZIOMKAMI LUB MALINAMI. Ubić pianę z 5 białek, dodać 10 dkg. cukru pudru, po łyżce wśród ciągłego ubijania, oraz 5 żółtek po jednemu, a 10 dkg. sypkiej mąki ostrożnie domięszać. Skórka cytrynowa dla zapachu. Masę piecze się w natartej masłem tortownicy. Po ostudzeniu przekroić tort za pomocą grubszej nitki. Dolną część pokryć poziomkami lub malinami, przykryć drugą połową. Wierzch zakłada się bitą śmietaną i ozdabia wybranemi jagodami.

POMIDORY Z MÓŻDŻKIEM. 8—10 dużych pomidorów umyć, ostrożnie wydrążyć i ułożyć w rondelku na maśle jeden obok drugiego. Móżdżek cielęcy, sparzony i obrany z błon rozetrzeć, dodać 2—3 żółtek, szczyptę soli i pieprzu i masą tą napełniać pomidory. Na wierzch każdego pomidora kładzie się kawałeczek masła, posypuje parmezanem i wstawia na pół godziny do piecyka. W międzyczasie sporządza się gęsty sos pomidorowy, mięsza go z paru łyżkami bitej śmietany i polewa nim wyłożone na salaterkę pomidory otoczone rantem z ryżu.

ZIEMNIAKI SZWAJCARSKIE. Jedną cebulę, kawałek marchwi, pietruszki i selera pokrajać drobno i zasmażyć na maśle; włożyć w to cienko pokrajanych ziemniaków, osolić, opieprzyć, wcisnąć trochę cytryny lub dodać parę kropel octu i dusić aż wszystko będzie miękkie.

ZIEMNIAKI SMAŻONE JAK KASZTANY. Wydrążone łyżeczką ziemniaki sparzyć wrzącą wodą, następnie utarzać w mące z cukrem, biorąc łyżkę mąki i łyżkę miałkiego cukru, wreszcie usmażyć na klarownem maśle, aż będą rumiane jak kasztany.

Sc. Ko.

NOWOCZESNE KUCHENKI ELEKTRYCZNE.



W angielskich szkołach gospodarstwa domowego uczą się panienki gotowania na elektrycznych kuchenkach. Propagandę w tym kierunku prowadzi Kobiece Towarzystwo popierania elektryczności w Londynie. Kuchenki elektryczne zyskały dla swej wielkiej praktyczności i użyteczności nazwę „Maid-of-allwork", dziewczyna do wszystkiego.

Na zdjęciu najnowsze typy kuchenek elektrycznych.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 32 — SIERPIEŃ — Dni 31
Niedziela **4** Dominika, wyzn. 5 Ab	Zupa pomidorowa na zimno. Sztuka mięsa zapiekana z beszamelem. Kurczęta z maszynki. Biszkopt z poziomkami lub malinami. Kolacja: Szynka cielęca z ogórkami.
Poniedziałek **5** NPM. Śnieżnej 6 Ab	Borówczanka z grzankami. Szparagówka w sosie koprowym z ziemniaczkami. Pieczeń sarnia w śmietanie z makaronem. Omlet z konfiturami. Kolacja: Bukiet jarzynowy, chleb, ser.
Wtorek **6** Przemienienie P. 7 Ab	Zupa z świeżych grzybków. Omletki z kalafiorem. Karbonadle wieprzowe z fasolką szparagową na kwaśno. Mleczko waniljowe. Kolacja: Pomidory z móżdżkiem.
Środa **7** Kajetana. Alber. 8 Ab	Zupa groszkowa. Ogórki faszerowane. Pieczona kaczka z młodą kapustą i ziemniaczkami. Bezy z bitą śmietaną. Kolacja: Swieże grzybki z ziemniaczkami.
Czwartek **8** Cyrjaka 9 Ab. Spal. Świąt.	Zupa rakowa lub rosół z kąszką. Sztuka mięsa z jarzynami. Pieczeń barania z buraczkami. Kompot mieszany. Kolacja: Pierożki ze słodką kapustą.
Piątek **9** Romana 10 Ab	Chłodnik z kwaśnego mleka i ogórków. Marchewka z zielonym groszkiem i krokietami z bułki. Pstrągi w rakowym sosie. Ptysie z kremem. Kolacja: Kasza hreczana z kefirem.
Sobota **10** Wawrzyńca 11 Ab	Barszcz zabielany z twardem jajem. Faszerowana kapusta. Wątróbka cielęca duszona a la Nelson z ziemniaczkami i mizerją. Pianka malinowa z biszkoptem. Kolacja: Pasztet z sarniny na zimno.

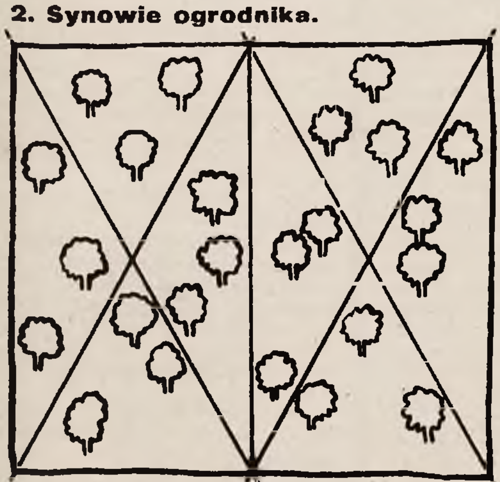
HOCKI KLOCKI

Rozwiązanie łamigłówek z N-ru 22-go „Asa".

1. Rosnące kwadraty.

Poniżej podane liczby należy wpisać w kwadrat, zaczynając od prawego górnego rogu i posuwając się wdół naokoło: 13, 81, 78, 6, 75, 8, 15, 16, 77, 70, 19, 79, 21, 9, 23, 2, 69, 66, 67, 74, 7, 76, 4, 1, 5, 80, 59, 73, 61, 3, 63, 12. Oczywiście widać z zadania odrazu, że przeciwległe sobie na obwodzie liczby muszą się sumować do 82, lecz właściwe dobranie ich nie jest zbyt łatwe. Powyższe rozwiązanie nie jest zresztą jedyne.

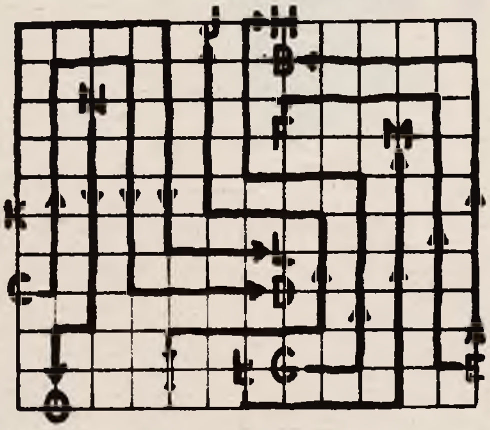
2. Synowie ogrodnika.



Proste rozwiązanie wskazuje rysunek.

3. Plotki... plotki...

Rozwiązanie wskazuje rysunek.



HUMOR.

TRUDNA ROLA.



Reżyser: ...następnie porwie go pan na ręce i wyrzuci przez okno...

(Dokończenie ze strony 10-ej).

Igelstrom zaczął się śmiać histerycznie. — Kosztowało mnie to sporo pieniędzy — wykrzykiwał szaleniec — ale wkońcu jestem pewny dokończonego dzieła. Już nikt nie może rościć praw do upragnionego światła...

Porwałem się do drzwi. W tejże jednak chwili jakieś silne ramiona pochwyciły mnie. Uczułem straszne uderzenie — zemdlałem...

Ocknąłem się w zupełnym mroku. Byłem uwięziony w lochu. Nie wiem jak długo tam przebywałem. Codzień rozmawiał ze mną telefonem Igelstrom. Dni mijały, a ja trwałem w rozpaczy. Aż któregoś dnia Igelstrom nie dał znaku życia. Minęło kilkanaście godzin, kiedy posłyszałem, że otwierają się drzwi. Ktoś wszedł i kazał mi iść za sobą. Wyszliśmy do ogrodu. Oczy bolały mnie pomimo słabego blasku księżyca. Z trudem patrzyłem. Ślepiec prowadził mnie ścieżką wśród gąszczów. Wyszliśmy na piasek wybrzeża. Jachtu nie było nigdzie widać, tylko przy brzegu kołysała się duża łódź. Ślepiec kazał mi wsiąść do niej.

„Jedź — powiedział — uciekaj stąd. W łodzi znajdziesz wodę i jedzenie".

Wskoczyłem do czółna i dopiero wtedy poznałem ślepca. Był to ogrodnik, którego nie pozwoliłem uderzyć Igelstromowi.

„Dlaczego nie jedziesz ze mną?" — krzyknąłem. W odpowiedzi ogrodnik wzruszył ramionami i zawrócił w dżunglę. „Co się stało z Igelstromem?" Ślepiec odwrócił się, zrobił nieokreślony ruch ręką i odpowiedział: „Już nic niema" — i znikł w gąszczu.

— — — — — — — — — — — — — —

W kilka dni potem opuściliśmy Gdynię. Po przyjeździe zjawiłem się u Leńskich, zaproszony na kolację. Zastałem wszystkich w doskonałych nastrojach. Kiedy zostaliśmy sami w pokoju, Helena zarzuciła mi ręce na szyję i powiedziała:

— Dziękuję ci za wszystko — jestem taka szczęśliwa.. — i ucałowała mnie gorąco.

W tej chwili usłyszeliśmy głos Romualda. Stał opodal, patrzył na nas z całą powagą, jakgdyby nic nie zauważył i powiedział:

— Nie mogę tylko zrozumieć, kto i jakim sposobem doręczył wam te tajemnicze listy i kartki...

KONIEC.

To warto poznać...

NA SCENIE.

Teatr Aktora z Warszawy, kierowany przez **Stefana Jaracza**, w swej wędrówce po Polsce zatrzymał się na kilkudniowy pobyt w **Krakowie**. Ze względów technicznych musiano wszędzie te gościnne występy ograniczyć do wystawienia dwu komedyj: **„Chorego z urojenia“** Moliera i **„Pana Brotonneau“** Flersa i Caillavet'a. Ale te dwa przedstawienia dają nam zupełnie wystarczający obraz twórczości scenicznej zespołu Jaracza i roli tego teatru w kulturze polskiej.



Hanka Jaraczówna, dobrze w Teatrze Aktora grała Hesię w „Moralności Pani Dulskiej“, a teraz doskonale odtwarza Antosię w „Chorym z urojenia“.

Przedewszystkiem Teatr Aktora, choć jest kierowany przez tak niepospolitą indywidualność aktorską, jaką jest Jaracz, największy nacisk kładzie na grę zespołową, na jak największe, wprost finezyjnie drobiazgowe, współżycie aktorów na scenie. Czuwają nad tem sam Jaracz i doskonała reżyserka Stanisława Perzanowska, dba o to cały zespół, który nie posiada w swem gronie „orłów“, ale za to ludzi prawdziwie utalentowanych, a nadewszystko niezwykle pracowitych.

W bardzo dobrej komedji „Pan Brotonneau“, święci naturalnie triumfy Stefan Jaracz, który rolę tę gra już od wielu lat. Nie gra jej jednak bynajmniej tak samo, jak przed laty. Przeciwnie, pogłębił ją, wyposażył w nowe wartości psychiczne. Bardzo dobrych partnerów posiada Jaracz w tej sztuce w osobach Perzanowskiej, Zarębińskiej, Chodeckiego, Łuszczewskiego, Orwicza, a Marja Dąbrowska w roli starej służącej stwarza maleńkie arcydzieło.

Genjalną kreację stwarza Jaracz w „Chorym z urojenia“. Jego Argan jest nietylko niepospolity, ale jest przedewszystkiem aktorsko nowy, gdyż tak przed Jaraczem nikt w polskim teatrze nie pojmował tej roli. Słusznie też powiedziano, że kto nie widział Jaracza w tej roli, nie zna go zupełnie.

„Chorego z urojenia“, znakomitą komedję Moliera, kongenjalnie przetłumaczoną przez Boya-Żeleńskiego, wyreżyserowała świetnie Stanisława Perzanowska, lekko aktualizując 300-letnią komedję, a bynajmniej nie roniąc nic z jej wspaniałego stylu. Perzanowska gra równocześnie rolę żony Argana, a gra ją świetnie. Arcydzieło groteski daje Daniłowicz, niezwykle stylowym jest Chodecki, a przemiłą, doskonałą pokojówką Antosią, Hanka Jaraczówna. Cały zespół: Kamińska: Łuszczewski, Orwicz, Żelski, Lenczewski, Wyspiański i milutka maleńka Zosia Grabińska, jest bardzo dobry.

Przedstawienia tak wysokiej miary artystycznej, jak „Chory z urojenia“ w teatrze Jaracza, dawno w polskich teatrach nie mieliśmy.

W Warszawie w teatrze **„Hollywood“** cieszy się wciąż dużem powodzeniem bezpretensjonalna a miła komedja muzyczna „Dziewczyna i hipopotam“, Mary Lucy, w której bawią publiczność Lubiczówna, Conti, Tom, Skonieczny i in.

Nowy kabaret literacki pod nazwą **„Cyrulik Warszawski“** otworzył w Warszawie **Fryderyk Jarossy**. Nazwisko Jarossy'ego, jak i nazwiska współpracowników i artystów tego teatrzyku, dają rękojmię, że będzie on na dużym poziomie literackim i artystycznym.

(swb)

NOWE KSIĄŻKI.

Po niedawnej powtórnej lekturze powieści **Rodziewiczówny** „Dewajtis“ i „Lato leśnych ludzi“, w których odkryłem piękno i wartości zapomniane, sięgnąłem po książkę **Kazimierza Czachowskiego „Marja Rodziewiczówna“** (Wyd. Polskie Wegenera). Jest to b. dobra monografja tej niesłusznie zapomnianej i jakże często lekceważonej autorki. Książka Czachowskiego to rehabilitacja Rodziewiczówny. Napisana zajmująco i żywo, czyta się łatwo i z zainteresowaniem, gdyż niema w niej nic z podręcznikowych morałów i tez. Czachowski szczegółowo analizuje powieści Rodziewiczówny, dając równocześnie obraz całej twórczości. W monografji Czachowskiego znajdujemy wiele szczegółów zupełnie nowych, na które nikt nie zwrócił uwagi, a które są bardzo słuszne i dobrze podkreślają wartości i znaczenie dzieł Rodziewiczówny.

Świetne są syntetyczne skróty dobrze napisane i przekonywujące. Naprzykład:

„W powieściach swoich objęła Rodziewiczówna całokształt życia społecznego, indywidualnego w różnorodnych jego objawach. Ze skutkiem wprawdzie — niejednolitym, ale w sposób zawsze głębiej wnikający w istotę rzeczy. Nieraz wykazała odwagę myśli, śmiałość spojrzenia, sięgając do najtrudniejszych spraw życia ludzkiego z bystrą spostrzegawczością, wnikliwą intuicją i mądrą odwagą“.

Powieści Rodziewiczówny, jak wykazują statystyki bibljotek, są znowu „modne“. Warto je naprawdę czytać, warto też zapoznać się z książką Czachowskiego.

(swb)

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 4 sierpnia.

12.03: „Od źródeł Wisły do Czeremoszu“.
14.00: „Tyle miłych wspomnień“, muzyka lekka.
15.35: Muzyka.
16.00: Koncert solistów.
16.45: „Postacie literackie żyją między nami“ — szkic literacki.
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk“. — Koncert.
19.50: Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R.
21.00: Koncert.
21.30: „Na wesołej lwowskiej fali“.

Poniedziałek, 5 sierpnia.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk“ — koncert.
15.30: Koncert orkiestry wojskowej 73 p. p.
16.15: Koncert solistów.
17.40: Pieśni węgierskie w wyk. Emericha Pallo.
18.00: Pogadanka Brunona Winawera.
20.10: Koncert polskiej muzyki symfonicznej.
21.15: Pieśni rycerstwa polskiego.
22.10: Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, 6 sierpnia.

12.15: Koncert orkiestry P. R. pod dyr. Stanisława Nawrota.
15.30: Zespół salonowy Pawła Rynasa.
16.15: Koncert w wyk. Józefa Gaczyńskiego (śpiew — z Torunia) Tadeusza Kowalskiego (wiolonczela — Warszawa).
19.30: Polskie utwory fortepianowe w wyk. M. Bilińskiej.
21.00: „Pierwsze dni wojska polskiego“ Audycje słowno-muzyczne.
22.40: Muzyka taneczna.

Środa, 7 sierpnia.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk“ — koncert.
15.30: Koncert Zespołu Tadeusza Seredyńskiego.
16.15: Recital fortepianowy Leopolda Muenzera.
16.50: Codzienny odcinek prozy. Fragment z noweli p. t. „Baśka Murmańska“ — E. Małaczewskiego.
17.00: Najpiękniejsze walce.
18.00: Wesoły skecz aktualny.
19.30: Recital skrzypcowy Stefana Frenkla.
20.10: Audycja dla dzieci.
22.45: Muzyka taneczna.

Czwartek, 8 sierpnia.

15.30: Muzyka lekka.
16.00: Pogadanka przyrodnicza dla dzieci p. t. „Sierpień na niebie i ziemi“.
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk“.
18.45: Muzyka w wyk. Londyńskiego Oktetu Squire'a.
20.10: Wesoła audycja.
21.00: S. Rachmaninowa: Koncert fortepianowy c-moll w wyk. Jakóba Gimpla z tow. Orkiestry Symf. P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga.
21.30: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko p. t. „Na śląskiem podwórku“.
22.10: Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego.

Piątek, 9 sierpnia.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk“ — koncert.
16.15: Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
17.25: Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.
19.30: Recital śpiewaczy Maryli Karwowskiej.
20.10: Reportaż muzyczny.
22.10: Muzyka salonowa.

Sobota, 10 sierpnia.

12.05: Beethoven: Hammerklavier, Sonata B-dur.
13.05: Koncert Zespołu Salonowego z Krakowa.
15.30: „Wesoła audycja dla dzieci“ (ze Lwowa).
16.50: „Żywe kamienie“ z powieści Wacława Berenta.
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk“ — Koncert.
19.30: „Nasze pieśni“ — odśpiewa Wiktor Bregy.
20.10: Wieczór Karola Namysłowskiego w wykonaniu Orkiestry P. R. pod dyr. dyr. Stanisława Namysłowskiego.
21.30: „Święto gór“ — Koncert.
22.10: „Wielkopolska w przekroju“.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.